Nr. 43 (1346). Warszawa, 27 Października 1906 r. **Rok XXVI.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Hoża Nr. 19 Telefonu 7388.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.
Korespondencyj nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism periodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA

Przed nową kampanią.

Wydaje się, że ta sromotna kompromitacya, którą zdobyło dla siebie i swego społeczeństwa Koło polskie w Dumie rosyjskiej, nie była jeszcze ową przysłowiową „szkodą", po której stajemy się mądrzy. To, że—z maleńkim wyjątkiem—wszystkie oratorskie wystąpienia naszych posłów wywoływały śmiech lub wzruszenie ramion słuchaczów; to, że w ich mowach nie zabrzmiał ani jeden z potężnych tonów, na które nastraja się dusza ludzkiego wszechświata i dusza naszego narodu; to, że oni przed całem przedstawicielstwem rosyjskiem odsłonili swą małość i nieudolność, a przed żywiołami reformatorskimi—swą wsteczność; to, że ciągłem zezowaniem w stronę rządu przy słodkich minach do kadetów zdradzili podejrzaną dwulicowość; to, że wyrobili narodowi naszemu smutną sławę klerykalno - szlacheckiego koserwatyzmu i obłudy; to, że dzięki im ostygli dla naszej autonomii nawet ci z Rosyan, którzy dla niej mocno gorzeli—to wszystko nie dało nam jeszcze przekonywającej nauki i przestrogi. Większość jest zdecydowana wybrać tych samych smutnej pamięci delegatów i sprowadzić tę samą bolesnej pamięci kompromitacyę. Niestety, już nie tę samą. Położenie bowiem zmieniło się bardzo na niekorzyść działalności parlamentarnej wogóle a naszej w szczególności. Jakąkolwiek będzie przyszła Duma, już ona (jak widać z uchwały kadetów w Helsingforsie) nie posunie się daleko w kierunku radykalizmu politycznego, juz nie będzie w niej dawnych „ziemców", pozyskanych przez długie i usilne zabiegi naszej Demokracyi postępowej dla autonomii polskiej; zasiądą tam działacze sparzeni na gorącem, więc dmuchający na zimne,a o ile śród nich znajdą się dawni nasi przyjaciele, powiedzą nam: naród wasz przysłał nam reprezentacyę wsteczną, nieżądającą bynajmniej głębokiej przemiany waszego stosunku do państwa, niewymagającą natychmiastowego przyznania wam autonomii, gotową pracować w naszym parlamencie do nieskończoności i zadowolić się ustępstwami Dumy i łaskami rządu; dlaczegóż więc my mamy walczyć za to, za co wy nie walczycie i dawać więcej,niż sami żądacie, zwłaszcza że drogi naszych dążeń rozbiegają się w przeciwne strony? Temu dowodzeniu nic można nic zarzucić, prócz naszej szkody. Inaczej myśląca i czująca mniejszość w naszem społeczeństwie może posiadać sympatyę żywiołów reformatorskich w Rosyi, ale one w przyznawaniu mu praw odrębnych muszą się kierować nastrojem i wolą jego większości. A ta większość—przynajmniej o ile ona wyraża się w Demokracyi narodowej — nie chce uczestniczyć w ruchu wolnościowym narodu rosyjskiego, nie chce mu powierzyć swych losów, nie chce wycofać się z Dumy po załatwieniu spraw ogólno - konstytucyjnych, nie chce odrazu całkowitej autonomii. Doprawdy mielibyśmy dziką pretensyę do Rodiczewów i Dołgorukowów, ażeby oni wobec tego stali względem nas na gruncie programu Demokracyi postępowej.

Wnosząc z dotychczasowych oświadczeń i napomknień, jeżeli nie wszystkie bez wyjątku, to prawie wszystkie nasze stronnictwa przyjmą udział w wyborach do Dumy. Wynik przewidzieć łatwo: zajdą pewne zmiany w osobistym składzie delegacyi, tu i owdzie moze nawet przegra bitwę Demokracya narodowa, ale ostatecznie ona zwycięży i wyciśnie swoje piętno na przedstawicielstwie naszego kraju. W obecnych warunkach już nie będziemy tego uważali za klęskę, przeciwnie nawet — za rezultat pożądany. Gdyby inne żywioły musiały teraz bronić w Dumie sprawy polskiej, skompromitowanej przez pierwsze Koło, spadłaby na nie odpowiedzialność za jej zły obrót, a właściwi sprawcy jej pogorszenia wymknęliby się skutkom swej winy i dalej grali rolę jedynych zbawców. Tymczasem gdy oni sami poprowadzą dalej swą robotę, gdy nie pozostawią najmniejszej wątpliwości co do miary swych uzdolnień i co do kierunku swych dążeń, wtedy społeczeństwo nakoniec przejrzy, oceni ich polityczną, umysłową i moralną wartość. Wówczas skończą oni swoją komedyę i zejdą na stanowisko, które im się istotnie należy — na stanowisko klasowych orędowników ciasnego nacyonalizmu, hodowców ciemnoty i podpór wstecznictwa, to samo, które zajmują w Niemczech narodowo-liberalni z wolno-konserwatystami a w Rosyi „prawdziwi rosyanie" z „październikowcami".

A czy wobec tego nie lepiej byłoby zupełnie cofnąć się od wyborów? Bynajmniej. Stronnictwa postępowe powinny dla siebie samych i dla swych sojuszników dokonać lustracyi swych sił, przejrzeć się w wykazach liczbowych, stwierdzić postęp swego rozwoju. One nie mogą zadowolić się hipotezą i domysłem, lecz muszą obrachowywać się ściśle. Nadto powinny wyzyskać ruch przedwyborczy w celach agitacyjnych, ażeby tym sposobem rozszerzyć zakres swego wpływu i przygotować sobie przyszłe zwycięztwo, które może być jeszcze odległe, ale jest niewątpliwe. Nacyonalistyczne, lub huligańskie hasła i progra-

my mogą wystarczyć na krótką dobę zamętu, niepewności, trwogi, odurzenia, ale nie na dłuższy okres życia. Gdy naród zrozumie, kto go ratuje a kto gubi, załatwi się szybko i energicznie ze swymi faworytami.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Irlandcy nacyonaliści, uprzedzając wypadki oznajmili przez usta p. John'a Redmond'a, swego leadera w parlamencie angielskim, że przyjmą tylko taką ustawę autonomii Irlandyi, która zagwarantuje zupełny samorząd zielonej wyspie.

Lord admiralicyi Twedmouth na bankiecie w Sheffield uspakajał Anglików z racyi ograniczenia zbrojeń, zapewniając, że siły morskie Anglii panują niewzruszenie nad wszelkiemi możliwemi kombinacyami połączonych sił obcych.

Za przykładem socyalistów niemieckich, którzy dla podtrzymania pisma francuskiego „Humanite" dali Jauresowi 25 tysięcy franków, belgijscy i szwajcarscy socyaliści pospieszyli z zasiłkiem, dzięki któremu dziennik ten, propagujący zasady moralności humanitarnej, ma byt zapewniony.

Gabinet we Francyi podał się do dymisyi, utworzenie nowego powierzono p. Clemenceau, który swemi mowami, wygłaszanemi podczas objazdu prowincyi, powszechny budzi entuzyazm. Zmiana gabinetu każe się spodziewać zmian w polityce wewnętrznej i zewnętrznej, to też sfery interesowane i ich prasa pełne są rojeń co do kierunku przyszłego gabinetu. Pan Clemenceau jest znany jako demokrata radykalny, niechętny reakcyjnym Prusakom, nie jest on też zwolennikiem pokoju za wszelką cenę. Z takich to barwnych włóczek wyszywają proroctwa na kanwie politycznej wzory na swoją modłę. Najprawdopodobniej przyszły gabinet uformowany będzie z „bloku republikańskiego". Socyaliści zapowiadają, że poprą tylko taki, który podejmie się urzeczywistnienia ich programu politycznego.

Deficyt w przewidywanym budżecie państwowym Francyi zmniejszono do 80 mil. fr. w drodze redukcyi wydatków do 3,8 miliarda.

Katolicy francuscy zrozumieli, że uległość ustawom uchwalonym przez naród a przechodzenie do porządku dziennego nad rozkazami papieskimi nie jest ani schizmą, ani herezyą, ani zamachem na religię. Dzięki temu gminy wyznaniowe mnożą się i wchodzą w posiadanie kościołów i majątków kościelnych ku oburzeniu ultramontanów, miotających się w bezsilnym gniewie.

Rząd niemiecki ma żądać w parlamencie nowych kredytów na cele wojskowe. Jest to wynikiem osamotnienia Niemców w polityce międzynarodowej.

W miejscowości Gosslar w Harcu odbył się zjazd partyjny narodowo-liberałów niemieckich. Zastanawiano się nad sprawami bieżącemi. Podniesiono podatek od piwa, opłatę za jazdę kolejami, potępiono cła, uniemożliwiające dowóz towarów zagranicznych żywności i powodujących ich drożyznę. Ażeby jeszcze więcej skokietować warstwy ludowe, wyrażono uznanie dla uchwał zjazdu robotniczego w Manheimie.

Zanosi się na olbrzymi strajk górników w okolicy Ruhr, gdzie ich jest 150,000.

Wyszła z druku książka głośnego Rudolfa Martina p. t. „Przyszłość Rosyi", w której on zapowiada, że deficyt najbliższego budżetu Rosyi wyniesie $1^3/_4$ miliarda franków.

Arcybiskup Stablewski wydał orędzie, w którem zająwszy wyłącznie religijne stanowisko, uświęca opór Polaków przeciw dzikiemu prusactwu. Z wyłącznie religijnego stanowiska i centrowa „Germania" i „Osservatore Romano" pochwalają ich stanowisko. Watykan tymczasem milczy dyplomatycznie.

Dymisya hr. Gołuchowskiego jest już faktem dokonanym. Utrudnia to stosunek austryacko-włoski i trójprzymierza, dla których potrafił się zasłużyć. Węgrzy pragną go zastąpić Węgrem.

Wykup kolei północnej jest już ostatecznie zdecydowany.

Deputacya kobiet wiedeńskich w izbie poselskiej złożyła memorandum domagające się prawa wyborczego dla kobiet.

Czesi, niezadowoleni z podziału okręgów wyborczych w Czechach, na Morawach i na Śląsku zamierzają obstrukcyę parlamentarną.

Rada ministrów w Hiszpanii zredagowała solidarnie antiklerykalny projekt ustawy o zakonach religijnych, wzorowany na francuskiej. Ustawa ta nakłada podatki na zakony, uprawiające przemysł, znosi wszelkie zakony zagraniczne lub zarządzane z zagranicy, odbiera im prawo nauczania, nadaje władzom sądowym prawo wstępu do klasztorów bez uprzedniego pozwolenia na to władz duchownych.

Tolerowane przez władze tureckie w Macedonii rzezie Bułgarów, dokonywane bezkarnie przez bandy greckie, grożą wybuchem powszechnego powstania zbrojnego i są świadectwem niemocy opieki dyplomatycznej mocarstw europejskich nad tym krajem.

Węzły myślowe, handlowe i inne między Japonią a Indyami Wschodniemi zacieśniają się. Romans ten pociąga za sobą bojkot europejczyków na Wschodzie Azyi.

Budżet Japonii przy pozostawieniu podatków bez zmiany może wzrosnąć w roku nadchodzącym o 20 milionów.

Zbiorowa pożyczka perska udzielona przez Rosyę i Anglię jest rzeczą postanowioną i pierwsza rata w ilości 5 milionów już wypłaconą została.

Ruch religijno-polityczny w Marokko pod wodzą pretendenta, skierowany przeciw Francuzom, respective przeciw cudzoziemcom i sułtanowi przybrał groźne rozmiary.

Amerykanie pienią się na Japończyków za zabieranie im rynków wschodnich i wymyślają im w prasie, wzmacniając swą flotę na wodach azyatyckich.

Wielkość nowych, wojennych okrętów angielskich nie daje spać Amerykanom, postanowili przeto budować olbrzymy o dwudziestu kilku tysiącach tonn pojemności.

ŻYCIE SPOŁECZNE

PROJEKT SAMORZĄDU GMINNEGO
w Królestwie polskiem.

Do tych wirów, które wytworzył nurt rewolucyjny, rząd dołącza ciągle swoje zamęty. Jednym z nich i jednym z największych jest zupełne splątanie czynników prawodawczych w państwie. Co do kogo należy, w zakresie ustawodawstwa—daremnie sililibyśmy się odgadnąć. Wychodzą bowiem, jak dawniej, ukazy, okólniki ministeryalne, rozporządzenia administracyjne, nakazy generał gubernatorów z zupełnem pominięciem Dumy a jednocześnie są dla niej opracowywane projekty do praw. Nikt nie umiałby wytłomaczyć, dlaczego np. usunięte zostały na drodze ukazu pewne ograniczenia stanu włościańskiego, skoro w tej samej sprawie (zniesienia stanowości) ma być złożony—i to daleko obszerniejszy wniosek w Dumie.

Zagadkowością rodowodu odznacza się również projekt samorządu w Królestwie polskiem. Dla opracowania go była przed dwoma laty powołana komisya, która przyjęła pomysł p. A. Suligowskiego, w wielu

18)

W. Władimirow.

Wyprawy karne.

(przekład z rosyjskiego).

(Ciąg dalszy).

Wiadomo również, że na wiele godzin przedtem oddział karny opuścił Gołutwino, a więc nie z jego ręki zginął Kriworotow. Może być przeto, że został stracony przez miejscowe władze gołutwińskie na mocy czyjegoś rozkazu. Być może tego człowieka polecił im zabić pułkownik Riman, a one, t. j. władze miejscowe, tylko spełniły, co im zostało wskazane. A może na nie podziałał przykład naczelnika oddziału, jego rady szybkiego i stanowczego działania, które, nie wkładając na nich żadnej odpowiedzialności, pozwalały w bardzo prosty sposób pozbyć się nienawistnego im człowieka. Wszystko to są pytania niewyjaśnione, które głęboko wstrząsały miejscowymi mieszkańcami, ja zaś starałem się jak można najbliżej je zbadać i oświetlić ze strony faktycznej.

Udało mi się naprzód otrzymać zeznanie matki Kriworotowa i jego żony, które były obecne podczas rozmowy w chwili jego aresztowania, po którem już w pół godziny został on rozstrzelany, jak świadczą ci, którzy wystrzały słyszeli: rozstrzelano go w odległości 20 kroków od budki semaforowej.

Około 11 wieczorem 20 grudnia, kiedy w domu Kriworotowa wszyscy już spali, do drzwi zastukano mocno, stara matka podeszła i spytała:

— Kto tam?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, postanowiła nie otwierać, ale syn zaprotestował przeciw temu i powiedział jej, żeby otworzyła.

Weszli trzej mężczyźni, dobrze znani mieszkańcom tego domu: starszy policyant, Semion Iwanow, dobrze pijany, młodszy policyant, Wasyl Końkow i żandarm kolejowy. Ten ostatni nie chciał wchodzić do ciemnego mieszkania i żądał, żeby je oświetlono. Odważniejszy Iwanow ośmielił kolegę zapewnieniem, że w mieszkaniu niema nikogo prócz rodziny Kriworotow.

Trzeba przypuszczać, że przed udaniem się na tę występną wyprawę, sumienie ich przerażone było krwawem widmem złego czynu i potrzebowało otuchy.

Wasyl Kriworotow leżał już w łóżku, kiedy weszli do pokoju z zapaloną lampą. Zdziwił się mocno, zobaczywszy ich, przywitał się z nimi podaniem ręki, ponieważ znał ich dobrze i zapytał:

— Iwanow, a ty czego chcesz odemnie?

— Wstawaj, Wasylu, ubieraj się. Pójdziesz z nami na stacyę w pewnej sprawie—obojętnie odrzekł Iwanow.

Ale te proste słowa sprawiły przerażające na Kriworotowie wrażenie: przed jego oczami stanęła śmierć. Obojętne, chłodne wyrazy: „pójdziemy na stacyę", nosiły jej znamiona i powiew grobu, który rozszedł się dokoła, odbił się na tych twarzach obojętnych, przybranych w maskę życzliwości i przyjaźni.

— Pocóż ja mam chodzić na stacyę?—drżącym z przerażenia głosem zapytał Kriworotow.

— Ach, Wasia, trzeba iść na badanie, ciebie tam czekają—rzekł Iwanow.

— Nie mówisz prawdy, Iwanow. Dlaczego ty mnie oszukujesz? — zawołał Kriworotow—przecież ja nie dziecko; po tem, co tu się działo i teraz kiedy oddziału siemionowskiego już niema, żadne badania nie

punktach anachronistyczny i na szkodę ludu wymierzony. Gdzieś on powędrował, czy nie powędrował, dosyć, że zniknął z widowni. Obecnie ukazał się projekt generał-gubernator warszawskiego. Trudno ogłoszone jego streszczenie poddawać szczegółowej krytyce, zdaje się wszakże, iż on jest demokratyczniejszym od propozycyi p. Suligowskiego. Tak np. według niego prawo wyborcze miejskie służyć będzie wszystkim posiadaczom drobnych mieszkań, którzy ukończyli 25 lat wieku a także kobietom. Zastrzeżono w nim nadto, że wybrani na urzędy ziemskie obejmują je bez uprzedniego zatwierdzenia rządu, że miejscowe rządy gubernialne nie mają prawa wpływać bezpośrednio na czynności ziemstw, że władze administracyjne nie będą mogły wstrzymywać biegu ich uchwał, że „jedynym zwierzchnikiem dla miast winno być prawo”, że kontrola należyć będzie do osobnej komisyi dla Królestwa polskiego, której połowa członków wejdzie z wyboru i t. d. Wszystkich tych warunków nie miała koncepcya p. A. Suligowskiego lub zawierała je w formie nie tak wyraźnej.

Mamy w naszym magazynie społecznym na składzie kilkunastu mężów, powoływanych do wszelkich komisyj bez względu na to, czy oni ich przedmiot rozumieją lub nie. Tak np. pp. St. Chełchowski i E. Dobiecki muszą należyć do każdej komisyi, w której składzie potrzebni są ziemianie, chociaż pierwszy z nich zna się dobrze tylko na grzybach trujących i namawianiu chłopów do odwoływania uchwał patryotycznych a drugi — tylko na rozmaitych gatunkach prawomyślności. Naturalnie udział tych i podobnych im panów w komisyi obradującej nad samorządem naszym (w Petersburgu) nie pomoże mu do demokratyzacyi, a jeżeli w nim ona częściowo ocaleje, nie ich to będzie zasługą.

Nadmienić trzeba, że dalsze losy projektu nie są wiadome, tj. czy on się stanie prawem zapomocą ukazu, czy też wejdzie pod obrady Dumy. Pewne żywioły i pewne stronnictwa, które w tym „darze” widzą tymczasowo dostateczne nasycenie głodu społecznego lub pierwszą „ratę” długu autonomii, może jeszcze długo będą musiały uspakajać swoje niepewnością bijące serca.

Ograniczanie prawa wyborczego robotników.

Wyjaśnienie Senatu, pozbawiające robotników prawa wyborczego z tytułu mieszkania a zachowujące im je tylko z tytułu pracowania w fabryce, zatrudniającej więcej, niż 50 ludzi, jest niespodzianką wielostronną. Naprzód bowiem nie jest ono zgodne z odnośnym przepisem ordynacyi wyborczej, powtóre nie jest zgodne z jej duchem i zasadami, przyznającemi każdemu bez wyjątku posiadaczowi mieszkania prawo wyborcze, potrzecie wyrządza oczywistą i niczem nieusprawiedliwioną krzywdę całej klasie społecznej i to w chwili, kiedy wrzenie tej klasy należałoby raczej łagodzić, niż podniecać. Możnaby się zgodzić na to, że podwójne prawo wyborcze robotników (z fabryk i mieszkań) było do pewnego stopnia przywilejem, który należało usunąć: ale dlaczegóż z tego przywileju odjęto jego część uzasadnioną i słuszną a pozostawiono poślednią? Dlaczego robotnika postawiono niżej najgorszego nieponia, który mając własny lokal jest pełnomocnym obywatelem wobec urny?

Ale oprócz tego moralnego upośledzenia wyjaśnienie Senatu wywrze niepożądany skutek polityczny. Jakkolwiek partye socyalistyczne przeceniały swój wpływ na wybory do Dumy i przynajmniej u nas mogłyby przeprowadzić conajmniej jednego kandydata, ich udział wzmocniłby siłę opozycyi a nadto zwróciłby je do pracy rozwojowej. Obecnie partye te nie mają żadnego interesu a natomiast mają ważny powód do cofnięcia się od wyborów. Bo przecież teraz już nie może być mowy o jakiejkolwiek ich nadziei zdobycia przedstawiciela własnego, są one skazane na sekundowanie burżuazyi radykalnej, przeciwko czemu zawzięcie się bronią. Jest to błąd ich fanatyzmu ale one z niego się nie wyleczą i dalej działać będą na własny rachunek. Podwójna wszakże niemoc: rewolucyjna wobec reakcyi i parlamentarna wobec ograniczenia wyborczego przy nieprzejednanie wojowniczym stosunku do społeczeństwa może je obezwładnić na długo.

FEJLETON

LIBERUM VETO.

Jutrzejsza chmura.

Kłamstwo nic nam nie pomoże, więc mówmy prawdę. Położenie nasze jest obecnie bardzo trudne i daleko gorsze, niż przed rokiem. Rosya reformatorska zniechęciła się do nas, zobaczywszy, że do pracy parlamentarnej z nią posłaliśmy wyłącznie drużynę z prawego krańca, która nietylko stoi na przeciwległym biegunie, ale każdej chwili gotowa wyłamać się z sojuszu i kłaniając się nizko sprzymierzeńcom w ich domu, zniesławia ich w swoim własnym. Rosya rewolucyjna straciła w nas wiarę, przekonawszy się, że jesteśmy sportowcami, usiłującymi ustanowić najwyższy w świecie *record* rewolucyjności. Rosya urzędowa lekceważy nas, spostrzegłszy, że nie opieramy się o żadną wielką jej partyę, prowadzimy polityczki na własne rączki i bądź zadowolimy się każdem „ustępstwem”, bądź nie zadowolimy się żadnem a w całości przedstawiamy gromadę głodnych żbików, wypuszczonych z klatek na wspólną arenę i zagryzających się wzajemnie z niezmordowaną zaciekłością. Z tych głuchych odgłosów, które do nas dolatują przez drzwi ministeryalne, można wnosić, że dostaniemy jakiś samorząd miejsko wiejski, jakąś ulgę dla języka polskiego—i tem się wyczerpie dla nas kozie mleko z rogu Amaltei nie zgorszywszy wcale naszych „przyjaciół” w przyszłej Dumie, którzy zawzięcie będą ziewali na widok beczki ze ściśniętych obręczami klepek—„bezwzględnie solidarnego” Koła polskiego. W prawdzie posiadamy gromadę Herkulesów, którzy przyrzekają dokonać wszystkich wielkich robót bohatera, ale dotąd uwijają się tylko z miotełkami po stajni Angiasza; posiadamy Tezeuszów, którzy obiecują zabić Minotaura, ale dotąd zdobyli się tylko na ofiarowanie swych czupryn Jowiszowi. W całym składzie naszego społeczeństwa, śród jego sił nie ma wcale potęgi zdolnej samodzielnie, bez niczyjej pomocy, zmienić jego położenie w państwie. To trzeba wyznać sobie szczerze i za-

---

mogą odbywać się na stacyi; a jeśli ty mnie tam wzywasz, to chyba dlatego, żeby mnie zabić. Powiedz prawdę, nie dręcz mnie! Ja się domyślam, że ty mnie chcesz zabić!... Bo gdyby mnie wzywano do cyrkułu, to byłaby rzecz inna...

—Głupi ty, Wasia! Cóżeś to nie słyszał, co mówił pułkownik na nabożeństwie, że zabijania nie będzie więcej. Czegóż więc boisz się? Jakiego rozstrzelania? Ubieraj się prędzej i pójdziemy.

— Nie, ja nie pójdę — stanowczo oparł się Kriworotow.

— Nie zdążył jeszcze powiedzieć ostatniego słowa, kiedy żandarm ze złością skoczył do niego, przyłożył mu rewolwer do piersi i rzekł:

-- Ty nie pójdziesz?.. Nie będziesz się ubierał? ..

Stara matka tak się przelękła, że zaczęła sama namawiać syna, żeby poszedł prędzej na stacyę, żandarma nie drażnił, bo mu tam przecież niczego złego nie zrobią; a jeśli go będzie drażnił, to z tego nic dobrego nie wyniknie.

O sancta simplicitas! Sama ona napędzała swe ukochane dziecko pod kule. Pragnąc ułagodzić gniew żandarma, ona—matka—namawiała, żeby się mu nie sprzeciwiał i prędzej szedł na śmierć, bez oporu, bez walki.

On powoli zaczął się ubierać, a Iwanow pomagał mu uprzejmie. Kiedy zaś żegnał się z matką i żoną, Iwanow znowu uprzedzająco zwrócił mu uwagę:

— Cóż tak czule żegnasz się? Przecież nie na śmierć idzieszl...

Jaka przebiegłość i co za okrucieństwo! Wiedzieć, że za 10 minut człowiek będzie trupem a rozmawiać z nim spokojnie i nie dać mu przygotować się na śmierć, pożegnać się z bliskimi...

Kiedy go wyprowadzili z domu, żona nie wytrzymała i wybiegła za nim, płacząc i łkając, matka też wyleciała na podwórze. Wasyl stanął i zawołał.

— Olesiu, matko! nie płaczcie! jeśli stanie się co, wiedzcie, że ja niewinny.

Więcej go nie zobaczyły.

Trupa jego nawet nie widziały.

Przywiedli go na stacyę i postawili na tem samem miejscu, gdzie przed dwoma dniami Riman zabił 26 ludzi—wedle ściany cegiełek węglowych niedaleko od budki semaforowej.

Strzelili doń kilka razy i zabili.

Semaforczycy słyszeli te strzały; zeznali, że było już około 12-ej w nocy. Rankiem o godzinie 5-ej, 21 grudnia, stróże kolejowi wywieźli na saneczkach ciało Kriworotowa na cmentarz i, jak mówią, pochowali je we wspólnej z innemi mogile na wierzchu tamtych, i w tym celu rozkopali ją. Zaś w oddzielnym grobie, o którym poprzednio wspominałem, pochowano kogoś innego; nie Kriworotowa; kogo—nie wiadomo.

Ciekawym jest jeszcze następujący szczegół: kiedy jego żona zwróciła się do policyi po świadectwo śmierci męża, nie chciano jej go wydać ze wzmianką, że on był zabity 21 grudnia, tj. już po opuszczeniu stacyi przez siemionowców, ale chciano napisać, że on zginął 19 grudnia, przy siemionowcach. Ten szczegół posiada duże znaczenie. Miejscowa władza policyjna dopuściwszy się wielkiego przestępstwa, lękała się wziąć na siebie odpowiedzialność za nie i wszystko chciała złożyć na oficerów oddziału karnego: dlatego w świadectwie urzędowem wolała dopuścić się fałszerstwa w datach, niż iść na ławę oskarżonych za morderstwo.

(d. n.)

przestać sowizdrzalskiej błagi, która każe jednym wykrzykiwać: „my lud...“ a drugim: „my inteligencya.,“ a innym: „my żywioły narodowe... zwyciężymy wroga!“ Gdy tak deklamują młode dzieci—budzą litość, gdy stare—wstręt.

Jeżeli wszakże w walce o wolność nie stać nas na siłę czynną, to niewątpliwie stać nas na bierną—wielką, nieraz godną podziwu, ratującą nasz byt, ale ostatecznie rujnującą, trzymającą nas w niemocy kulturalnej i nieustannym zamęcie. Wielokrotnie już podejmowałem daremny trud dowodzenia, że każda polityka, która nie jest psychologiczną, jest głupią. Z tego względu głupią była zawsze polityka rosyjska w Królestwie polskiem, bo zużywała ogromną masę własnej energii i męczeństwa swych ofiar dla osiągnięcia celów, leżących po za obrębem możliwości. Gdyby ona zamierzała wpuścić nas do Wisły, ażebyśmy zamieniwszy się w jesiotry, dostarczali jej ze swej ikry kawioru, byłoby to równie mądrem, jak wszystkie operacye rusyfikacyjne. Państwo, które po setkach lat stosowania najbardziej wytrawiających środków nie zdołało zniszczyć ani jednego rysu plemiennego w garści Czuwaszów lub Wogułów i dochowało ich w takiej nieskazitelności, jak gdyby wczoraj opuścili ko ebkę, nie mogło przecież zmienić wielkiego narodu kulturalnego. Ażeby w coś podobnego uwierzyć, na to trzeba mieć inteligencyę feldfebla, kolegialnego regestratora lub Murawiewa. A jakkolwiek Rosya posiada Suworinów i Gringmuthów, amatorów, którzy lubią codziennie rozpruć nasze społeczeństwo, naurągać ruchom jego serca i w jego wnętrzu gorącem ogrzać swoje satyrowe kopyta, trudno przypuścić, ażeby jakikolwiek naród chciał ujarzmić inny po to tylko, ażeby się nad nim znęcać. A wełna, którą rząd corocznie z nas strzyże? Niewątpliwie ładne runo, zdaje mi się wszakże, że gdyby on zajął się na wielką skalę handlem rzeczywistych baranów, mógłby z niego osiągnąć taki sam zysk, jaki mu daje Królestwo polskie, i nie potrzebowałby walać swych rąk ani krwią, ani błotem. Mimo to według wszelkiego prawdopodobieństwa—jak rzekłem—obrabie on tylko najgrubsze sęki ze swej dla nas przeznaczonej maczugi i będzie dalej prowadził politykę, która wierzy, że wszyscy psychologowie świata mają mniej rozumu, niż jeden dyrektor departamentu lub „stołonaczalnik“ załatwiający sprawy polskie. Innemi słowy: będziemy dalej zmuszani do niemożliwości i będziemy dalej opierali się jej wykonaniu.

Ze stuletniego doświadczenia wiemy, jakie noże są używane do tej wiwisekcyi i jak one wszystkie szybko się stępiają, nie osiągnąwszy innego rezultatu, prócz bezmyślnych i bezcelowych okaleczeń. Nad tem więc długo zastanawiać się nie warto, gdyż wszyscy znamy i umiemy wprawnie odmawiać cały pacierz politycznego męczeństwa. Natomiast warto uświadomić sobie uboczny a niechybny jego skutek. Niezadowolone w swych najważniejszych potrzebach, których ani stłumić w sobie, ani wyrzec się ich nie może, społeczeństwo nasze pozostanie nadal w stanie ciągłego, utajonego wrzenia. W jego myślach i uczuciach legnie nieustający protest przeciwko gwałtom i krzywdom, które mu nie pozwalają swobodnie się rozwijać, które mu każą żyć uciskiem, nędzą i bezprawiem niewoli. Cokolwiek mówić i czynić będą jednostki i stronnictwa, jakiekolwiek będzie ich zewnętrzne przystosowanie się do warunków, każdy i wszyscy drgać będą zgodnie ruchem zgrozy, gniewu i nienawiści, każdy i wszyscy ulegać nadwrażliwości i gorączce nerwów narodowych. Taki stan zaś jest niezmiernie przyjaznem podłożem nietylko dla czynników walki, ale także dla bakteryj rozkładu.

Bez daru proroczego można przewidzieć, że po zwróceniu nam uznanych przez rząd a do mizernej jałmużny zredukowanych należności politycznych osłabnie w społeczeństwie dzisiejsza odporność, a wzmocni się sympatya dla wirów społecznego chaosu. Wtedy najzuchwalsza awanturniczość zacznie zyskiwać zwolenników, najszaleńszy obłęd — apostołów, najidyotyczniejsze warcholstwo—wielbicieli. Wtedy wszystko, co wznieca burzę, co uderza małą lub wielką falą w ścianę skalistych brzegów, będzie witane szerokim oklaskiem. Ludzie przestaną badać wartość i skuteczność przeróżnych radykalizmów, wystarczy im to, że one są siłami rozsadzającemi. Tak było przed dwoma laty, tak nie jest dziś, tak będzie wkrótce. Najbliższa więc przyszłość zapowiada u nas bujne plony wszystkim siewcom zamętu, wszystkim, którzy radziby rozbić nasze ciało społeczne w mgławicę i mocą twórczej maligny wytworzyć z niej świat nowy. Nie będzie miejsca dla pracy reformatorskiej, organizacyjnej, rozwojowej, ale będzie dużo miejsca dla wichury anarchistycznej, dla gry hazardownej, dla przedsięwzięć awanturniczych. Dążności kulturalne stracą kredyt, bo uznane będą za bezsilne i na zbyt długo rozmierzone; zyskają go za to rozpaczliwe porywy, najfantastyczniejsze, nieraz dziecinne pomysły i waryackie plany. Przez lata całe będzie się warzyło w kotle społecznym życie nasze, jako szumiąca, kipiąca i wstrętna mieszanina skłóconych z sobą żywiołów. Tylko swoboda obywatelska, tylko możność rozpostarcia robót kulturalnych i uruchomienia sił narodowych, tylko autonomia kraju mogłaby uporządkować zabójczy chaos, powstrzymać proces gnicia moralnego i skłonność do histeryi politycznej. Niestety, z każdym dniem oddala się ona od nas coraz bardziej. Ani my jej dotychczasową taktyką i zdolnością nie wywalczymy, ani władcy naszych przeznaczeń nam jej nie dadzą. Musimy wejść w okres zdenerwowania; musimy uledz temu losowi, co nędzne i chore drzewa, na które najliczniej i najchętniej rzucają się owady.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE

„Przyczynowość“ konkursowa.

Nie wątpię ani na chwilę, że ogłaszając konkurs na temat „Przyczynowości“, Redakcya„ Przeglądu Filozoficznego“ pragnęła nietylko dać zastępowi autorów okazyę i impuls do tworzenia dzieł nowych, lecz również wywołać ruch polemiczny, dyskusyę i krytykę ze strony swych czytelników, interesujących się tym nader ponętnym przedmiotem, acz niepowołanych do twórczości w tak trudnej i subtelnej dziedzinie.

Dla tego też sądzę, że wycieczki krytyczne, zwrócone nawet przeciwko pracom nagrodzonym na konkursie, nie będą przeciwdziałać pierwotnym celom Redakcyi tego organu, tembardziej, że dadzą one samym autorom konkursowym najlepszą sposobność do szerszego i bardziej szczegółowego rozwinięcia swych pomysłów, tudzież do spopularyzowania swych z natury rzeczy mało przystępnych poglądów.

W tem przekonaniu zamierzam tedy mówić przedewszystkiem o pierwszej z czterech prac ogłoszonych w ostatnim zeszycie „Przegl. Filozof.“ (1906 II—III), a mianowicie o rozprawie *D-ra Jana Łukasiewicza*, p. tyt. „*Analiza i konstrukcya Pojęcia Przyczyny*“.

Najtrafniejszą wydaje mi się następująca uwaga p. Łukasiewicza: „Wszystkie sądy fałszywe mają... tę szczególną własność, że dadzą się atakować z najrozmaitszych punktów“ (S. 121).

Jeżeli czytelnik pozwoli mi zastąpić wyraz „sądy“ przez „teorye“, „poglądy“ i t.p., skorzystam z tej właśnie uwagi.

Istotnie, poglądy i wywody D-ra Ł. dają się „atakować“ z tak licznych punktów, iż będziemy musieli ograniczyć się do pewnych tylko, nie roszcząc sobie praw do krytyki wyczerpującej, na jaką rozprawa ta ze wszech miar zasługuje.

Celem jej jest *logiczna analiza* oraz nowa *konstrukcya pojęcia przyczyny*. Autor zresztą zaznacza wyraźnie, że analiza psychologiczna zgoła go „nie obchodzi“ (przynajmniej „tutaj“), lecz że ma zbadać „ów *przedmiot abstrakcyjny*, który stanowi znaczenie wyrazu przyczyna“. Co zaś rozumie przez „logiczną analizę“, objaśnia nam (kursywem) na str. 109, w określeniu, do którego odsyłam czytelnika.

Chcąc analizować, należy mieć *przedmiot* analizy. Lecz zdaniem autora „niema dotychczas *gotowego* przedmiotu abstrakcyjnego, zwanego drzyczyną..., i trzeba go dopiero *stworzyć*“. Autor więc stwarza ten „przedmiot“, a dzięki temu znajduje się w położeniu wyjątkowo-pomyślnem, gdy chodzi o analizę; nieinaczej jak chemik, któremu udała się synteza jakiegoś nowego ciała: mają oni bowiem wówczas przed sobą *własne* utwory.

W rozważanym wypadku chodzi o stworzenie przedmiotu abstrakcyjnego „realnego“, t. j. „zgodnego z rzeczywistością“, a nietylko pozbawionego cech wzajemnie sprzecznych. Autor zapewnia nas (s. 113), że „przyczyna“ jego takim właśnie będzie przedmiotem, t. j. że będzie zawierać „takie cechy, które stwierdzamy, albo których domyślamy się przynajmniej w odpowiednich przedmiotach konkretnych“.

Pierwszą cechą pojęcia przyczyny jest „*współwzględność w stosunku do skutku*“. Autor ma więc zbadać: 1°) „jakiego rodzaju *stosunek* łączy przyczynę i skutek“ i 2°) „jakiego rodzaju *przedmioty* mogą być w tym stosunku *przyczyną*“.

Przystępując do pierwszego zadania autor poddaje przedewszystkiem krytyce „istniejące już poglądy na istotę związku przyczynowego“, zwalczając na samym początku teoryę przyczynowości reprezentowaną w nowszych czasach przez *Sigwarta*.

Chodzi tu nadewszystko o pojęcie „działania“. Otóż na tym właśnie punkcie zatrzymamy się, po raz pierwszy, nieco dłużej. To bowiem „działanie“, a raczej przeświadczenie o beznadziejnej ciemności tego pojęcia wpłynęło (jak sądzę) w sposób najbardziej decydujący na D-ra Ł. i zniewoliło go do oddania się własnej twórczości, do zbudowania „nowego“ pojęcia przyczyny.

Szkoda, że nie poszedł on za radą Sigwarta: „kto chce określić pojęcie przyczyny, musi zastanowić się nad pojęciem działania“. Nie chcę przez to powiedzieć, że wystarczałoby w tym celu przyswoić sobie owe „trzy twierdzenia“ Sigwarta, które Ł. przytacza dosłownie (Przypisek 1, str. 168); przeciwnie, uważam, że trzy te zdania Sigwarta zgoła nie dają jasnego określenia „działania“; cytowane zresztą, a rozpowszechnione dzieło jego (*Logik*) jest mi najzupełniej obce.

Chciałem natomiast powiedzieć, że gdyby Dr. Ł. poszedł za głosem owej admonicyi Sigwarta i skierował samodzielnie swój wybitny talent analityczny na pojęcie „działania“, uchroniłoby go to prawdopodobnie od nader niewdzięcznej pracy twórczej. Niestety jednak chcąc w rozprawie dotrzeć jaknajrychlej do analizy własnego

swego tworu, zanalizował pojęcie „działania" zbyt pochopnie i zbyt płytko.

Oto postaram się poprzeć mój zbyt surowo brzmiący sąd, aczkolwiek wątpię, czy treść jego istotna stanie się przez to łagodniejszą.

Dr. Ł. odrzuca kategorycznie „*działanie*" jako ów właśnie stosunek przyczynowy" głównie, a może nawet wyłącznie dla tego, że wydaje mu się on *antropomorfistycznym*, i tylko takim.

Otóż, gdyby tak nawet było istotnie, nie wystarczałoby to jeszcze do zupełnego odrzucenia „działania". Wszakże samemu D-rowi Ł. względy takie bynajmniej nie przeszkadzają mówić o „Najwyższej Istocie, co świat cały stworzyła" i o „umyśle" tej Istoty (str. 185, do której jeszcze w innym celu wrócimy).

Lecz tak bynajmniej nie jest. „Działanie" nie jest czysto antropomorfistycznem. Z pochodzenia swego, z wyboru nazwy, było takiem pierwotnie (jak olbrzymie mnóstwo innych rzeczy, o których ἄνθρωπος myślał i mówił), lecz wyemancypowało, wyzuło się poczęści z tej cechy i rozszerzyło na istoty nieżyjące, a gdyby Dr. Ł. chciał, mógłby emancypacyi tej dopełnić ostatecznie.

Niesłusznie sądzi Ł., że wśród cechujących „działanie" czynników „największe znaczenie posiada ów *wysiłek*, którym łamiemy opór i po którym następuje znużenie".

„Wysiłek, znużenie, opór" pochodzą ze świata istot obdarzonych życiem duchowem. Można się na to zgodzić.

„Wyrażenia te i pojęcia przenosimy nietylko na istoty organiczne... ale i na przedmioty martwe".

„Wyrażenia (t. j. „działanie")—tak, „pojęcia" jednak *nie*, —chyba, że ktoś czuje specyalną do tego skłonność i chce koniecznie wyrzucić „działanie" ze swej skarbnicy umysłowej, a mianowicie naukowej.

Dzięki temu zaślepieniu autor powiada, że kto określa przyczynę jako jakiś przedmiot *działający*, powinien ograniczyć zakres przedmiotów... do żyjących istot organicznych", że więc, według takiego poglądu, przyczyną mógłby być „tylko człowiek, koń, wół i t. e.", zaś nie przedmioty martwe.

Autor więc konkluduje oczywiście, że „stosunek działania nie jest stosunkiem przyczynowym..., istnieją bowiem liczne wypadki, w których zachodzą stosunki przyczynowe, chociaż niema działania".

W tem jednak miejscu (s. 120) autorowi nasuwa się — po raz pierwszy — skromna uwaga w postaci obawy, że „nie wszyscy uznają słuszność tych dowodzeń, bo twierdzić mogą, że działać znaczy co innego, niż wysilać się, by pokonać opór".

Po chwili jednak p. Ł. uwalnia się od tej obawy i rzuca tylko swym ewentualnym przeciwnikom niejako zaproszenie, mówiąc:

„W takim razie mają obowiązek określić dokładnie znaczenie, w jakiem wyrazu tego (działanie) pragną używać".

Otóż tu, pozostawiając nareszcie cytaty, pragnę pójść za tem zaproszeniem, czyli za głosem nawołującym do obowiązku.

Postaram się mianowicie pokazać, jak np. *) można określić "działanie", jako przedmiot abstrakcyjny „rzeczywisty„, nie powoływając się ani razu na „wysiłek", „znużenie", „opór" i t. d., jednem słowem: nie wikłając się ani razu w sieci antropomorfizmu.

Z góry jednak muszę zaznaczyć, że określenie moje nie będzie jednem jakiemś zdaniem gramatycznem, w którem „działanie" figuruje jako podmiot. Chęć budowania *takich* określeń (zgrabnych, łatwych do spamiętania, wygodnych w płytkiej szermierce słownej) prowadzi częstokroć do najfatalniejszych wyników. Nie oddam się więc tego rodzaju imprezie, lecz postaram się pojęcie „działania" *omówić*, pozostawiając szermierzom słowa wyłowienie i ociosanie krótkiego określenia, powiedziałbym niemal *pocket-definition*.

*) Powiadam „*naprzykład*", gdyż bynajmniej nie wyłączam możliwości innych również jasnych i jaśniejszych określeń.

Właściwie mógłbym oszczędzić sobie trudu, odsyłając czytelnika do pewnych dwóch dziełek (z których jedno jest uprzystępnieniem drugiego), w których dotknąłem tego przedmiotu; ponieważ jednak nie chodziło mi wówczas wyłącznie ani o „działanie" ani o „przyczynowość", tak iż są tam splecione i powikłane z innemi kwestyami, przeto wolę sprawę tę rozwinąć tu osobno, kładąc główny nacisk na te strony rzeczy, które najbardziej rozbratały d-ra Łukasiewicza z „działaniem".

Nie odsyłając czytelnika całkowicie do moich dawniejszych prac, powołam się jednak kilkakrotnie (dla oszczędzenia miejsca) na pewne przynajmniej rozważania moje, zawarte w „Wykładach Zakopiańskich" z roku 1904 (wydanych w r. 1905).

Niechaj *U* będzie danym układem *niezakłóconym*, w znaczeniu słowa tamże określonem. Przeglądając dotyczące Wykłady II i IV, czytelnik przekonywa się natychmiast, że „niezakłócony" bynajmniej nie pochodzi tam od czasownika „zakłócać" i bynajmniej nie implikuje jeszcze istnienia jakiegoś innego układu, który mógłby wtrącać się do historyi układu *U*. Te ostatnie pojęcia są tam wprowadzone dopiero znacznie później. Żałuję istotnie, że nie rozporządzam innym wyrazem, aby zażegnać możliwe nieporozumienia. Po tem jednak wyraźnem ostrzeżeniu obawy moje byłyby już chyba płonne.

Przez *niezakłócony* rozumiem tedy taki układ, którego prawa, czyli sposób zmieniania się (a więc też w szczególności warunki trwania w danym stanie) nie zawierają czasu *explicite*, t. j. nie zależą wprost czyli wyraźnie od czasu, lecz tylko od stanu chwilowego samego układu. „Prawa" są tu oczywiście użyte w najniewinniejszem znaczeniu słowa, t. j. bez najbledniejszej nawet myśli o jakiejś „konieczności".

Skonstatowanie faktyczne, że dany układ jest w tem znaczeniu słowa niezakłóconym (w takiem a takiem przybliżeniu), wymaga niewątpliwie całego szeregu operacyj porównawczych i t. d., jak to starałem się wyjaśnić w „Wykładach": lecz cała ta procedura jest w każdym razie zupełnie zrozumiałą i pozbawioną wszelkich elementów mistycznych, t. j. wchodzącym w nią przepisom odpowiadają operacye zawsze wyobrażalne, a często nawet bezpośrednio wykonywalne. Sądzę tedy, że byłoby zupełnie zbytecznem rozwodzić się tu dłużej nad tym punktem. Nie jest mi też obcą *względność* powyższego pojęcia niezakłóconości; nietrudno jest np. zrozumieć, że układ może być lub nie być "niezakłóconym" zależnie od wyboru chronometru wzorcowego; lecz co do takich i tym podobnych, że tak powiem, przyrządów obserwacyjnych i wzorców, należy oczywiście porozumieć się zgóry w sposób do pewnego stopnia konwencyonalny.

Dzięki wszystkim tym względom określenie nasze, napozór dość proste, staje się naturalnie bardzo zawiłem. Lecz procedury praktyczne, t. j. przeprowadzane istotnie w laboratoryach (lub obserwatoryach), a mające prowadzić do sumiennego skonstatowania podobnych własności zasadniczych w tej lub owej dziedzinie, są w większości wypadków również zawiłe. Wszystko to nie zaciemnia więc bynajmniej treści naszego określenia.

Wyobraźmy sobie teraz dwa zupełnie jednakowe egzemplarze układu *U*, które krótko nazwiemy U_1, U_2. Obowiązek należytego objaśnienia słów „zupełnie jednakowe" bynajmniej nie jest mi obcym; nie spełniam go tu jednak natychmiast, aby wywodów naszych nie przeplatać objaśnieniami, które w tym np. razie byłyby niepomiernie długie.

Aż do pewnej chwili, powiedzmy t_0, niechaj obadwa nasze egzemplarze U_1, U_2 znajdują się zawsze *współcześnie* w jednych i tych samych stanach *) (a więc też oba niechaj będą niezakłócone aż do t_0), tak iż pod żadnym wogóle obchodzącym nas względem niema między nimi różnicy.

Egzemplarz U_1 niechaj trwa nadal w swej niezakłóconości. Aż do chwili t_0, jak możemy powiedzieć, egzemplarze U_1, U_2, biegły wciąż wzdłuż *jednej i tej samej linii stanów* (patrz Wykł. VI), i U_1 biegnie też nadal po tej linii. Otóż przypuśćmy, że od chwili t_0 egzemplarz U_2 *zaczyna zbaczać* od tej linii, czyli—nieobrazowo—że dalsza jego historya zaczyna odbiegać od dalszej historyi U_1.

Niewolno nam (aż dotąd) powiedzieć np.:

W chwili t_0, *przez* zjawienie lub zbliżenie się jakiegoś innego układu do U_2, lub też *przez* jakieś mniej lub więcej gwałtowne zmiany w pierwotnem otoczeniu U_2, egzemplarz ten zaczyna zbaczać od owej linii.

To „przez" byłoby bowiem równoważne „wpływom" lub „działaniu na U_1", o których dotąd mówić nam nie wolno.

Dlatego też umyślnie powiedziałem poprostu i bez żadnych dodatków, że U_2 *zaczyna zbaczać* od owej linii stanów.

To założywszy, możemy natomiast powiedzieć natychmiast, że U_2 od chwili t_0 przestaje być niezakłóconym, czyli zaczyna być *zakłóconym* układem, nie wywodząc tymczasem jeszcze tego epitetu od czasownika „zakłócać".

Począwszy od chwili t_0, U_2 może zresztą być w ciągu czasu dowolnie długiego układem zakłóconym (w znaczeniu słowa objaśnionem w Wykł. II—IV), t. j. takim, iż sposób jego zmieniania się będzie zależał wyraźnie od czasu. Mniejsza o to, jak długo trwa ta jego zakłóconość. Możemy jednak, dla zachowania ogólności rozumowań, wysłowić się tak jeszcze:

Wyobraźmy sobie, że U_2 odbiega ustawicznie w ciągu dowolnego czasu τ (t. j. od chwili t_0 do chwili $t_0 + \tau$) od historyi odpowiednich egzemplarzy niezakłóconych (patrz. Wykł. VIII).

Wobraźmy sobie nasamprzód, że skonstatowaliśmy właśnie to tylko i nic więcej.

Wówczas, t. j. w tem *pierwszem stadyum* naszego badania, powiemy tylko, że *U_2 jest układem zakłóconym* w ciągu owego czasu τ.

Pójdźmy teraz dalej. Rozglądamy się w bliższem i dalszem otoczeniu układu U_2 w ciągu czasu τ i porównywając to, co znajdujemy, z otoczeniem tegoż U_2 *przed* chwilą t_0 jakoteż z otoczeniem egzemplarza niezakłóconego U_1, dostrzegamy pewne *różnice*, pod jakimkolwiek zresztą względem. Nie będę tego ilustrował przykładami, aby nie stracić wątku myśli; czytelnik sam znajdzie ich całe mnóstwo.

Otóż w tem *drugiem stadyum* powiadam już nietylko, że U_2 jest układem zakłóconym, ale że *coś go zakłóca*, że *U_2 podlega wpływowi jakichś czynników obcych czyli „zewnętrznych"* (lecz niekoniecznie przestrzennie zewnętrznych) i—mógłbym jeszcze dodać—odpowiadających owym dostrzeżonym różnicom otoczenia. W temże stadyum mogę już zresztą powiedzieć, bez obawy o nieporozumienie, że U_2 podlega *działaniu czynników obcych*, a w tych wypadkach, w których układ dopuszcza zastosowanie pojęcia ilości, mogę nawet mówić o *mierze ilościowej tego działania* (patrz Wykł. VIII, wracając też do V co do niezmienników zasadniczych, z tem jednak

*) Co do określenia „stanu" patrz Wykł. III.

wyraźnem zastrzeżeniem, że nie mam jeszcze prawa mówić, że *coś działa na coś innego*. Nie jesteśmy więc jeszcze u kresu naszej drogi.

Przypuśćmy jednak, że rozglądając się skwapliwiej w otoczeniu U_2 wyławiamy zeń cały szereg różnych układów *A*, *B*, *C* i t. d., które przedtem mniej nas obchodziły, i że kolejno zaczynamy je wcielać (myślowo) do naszego układu, rozważając układy obszerniejsze $U_2 + A$, $U_2 + A + B + ...$ i t. d. Innemi słowy: U_2, jak wszelki inny „układ”, jest pewnym dowolnie i myślowo wyodrębnionym fragmentem natury; zaczynamy doń dodawać *A*, *B*, *C* i t. d., otrzymując coraz to większe czyli obszerniejsze fragmenty. Wcieliliśmy *A*; badamy $U_2 + A$ jako jedną całość czyli jeden układ; okazuje się, że i ten obszerniejszy układ jest zakłóconym; nie zrażając się niepowodzeniem, wcielamy *B* i t. d., aż wreszcie wcieliwszy *A*, *B*,... *N*, otrzymujemy układ $U_2 + A + B ... + N$, który jest już *niezakłóconym*. Wówczas powiemy, że *uzupełniliśmy układ zakłócony* (U_2) *do układu niezakłóconego*.

W tem oto *trzeciem stadyum* powiem też (w drodze określenia), że *jeden przynajmniej z układów A, B,...N działa na* U_2.

(d. n.)

Ludwik Silberstein.

Pojęcia metafizyczno-przyrodnicze

u dzieci od lat 4 — 10-ciu.

Zamierzając tą próbą charakterystyki pojęć dzieci w dziedzinie metafizyki oraz przyrody posiadającej naszą niezbyt bogatą literaturę psychologiczną, nie mam bynajmniej pretensyi do jakiegoś skończonego obrazu; zbyt mamy na to mało materyału doświadczalnego, zbyt jeszcze niedokładne metody badania, a zresztą i same te pojęcia w dość niejasnej zwykle przejawiają się formie, przez co usuwają wszelkie marzenia o skończonych systematach. Dopiero pewna ilość połączonych usiłowań i to ze strony nietylko zawodowych psychologów, ale nauczycielek i matek, mogłaby dać jakiś wyraźniejszy rezultat w tym względzie. Obecnie trzeba w pojedynczych usiłowaniach zwyciężać niezliczone trudności: badanie tak czujnych i delikatnych istot jak dzieci, wymaga metod jednocześnie nadzwyczaj ścisłych i niesłychanie subtelnych: tymczasem matki, niańki i wychowawczynie utrudniają sprawę w najwyższym stopniu. wyśmiewając naiwne może, lecz pełne głębokiego znaczenia naukowego koncepcye dziecięce, opryskliwie odpowiadając na pytania, — jednem słowem budząc niebezpieczną nieufność we własne siły i skrytość, oraz gasząc t. zw. ciekawość, warunkującą szybkość i intensywność rozwoju młodego umysłu. Natomiast wyśmiawszy już dostatecznie „dziecinne” pojęcia Józia lub Frani, dają im owe „wychowawczynie” swoje suche i pozbawione odrobiny malowniczości bajki, niedołężne „zagadywania” pytań dzieciaków, lub wreszcie dogmaty katechizmowe. Tu jednak, szczęściem, mamy jedną pociechę: oto mamy i nianie zbyt ryzykownie manewrują swoim autorytetem: bardzo więc szybko rozpada się on w gruzy. Dzieci widzą, że to są tylko sposobiki, domowe środki na uspokojenie, i nie biorąc ich na seryo, budują sobie własne, w ścisłej tajemnicy dziecinnego pokoju trzymane koncepcye.

Podajemy tu parę przykładów takiego upadku autorytetu: Ośmioletniej S. opowiadano, że kiedy jest grzeczna, to aniołek chodzi za nią—oglądała się też parę razy, zbliżała nagle do lustra, nawet kazała się mocno związać w pasie szeroką wstążką i oglądała się w lustrze, gdy jednak te wszystkie próby zawiodły, powiedziała sobie: „oni kłamią” i już im potem nie wierzyła. A jakże przykrym jest podobny zawód—wiemy to chyba sami najlepiej. Pięcioletni chłopiec wierzył z początku niańce, gdy go straszyła djabłem, i starannie wystrzegał się wspominać jego imienia na noc, aby nie przyszedł. „Ale gdy zobaczyłem—oto jego własne słowa—że on nigdy nie przychodzi, zrozumiałem, że ona (t. j. niańka) tylko tak.

Badając dzieci w wieku od lat 4-ch do 10-ciu, widzimy stopniowe zanikanie tych oryginalnych koncepcyj, a przejmowanie się twierdzeniami katechizmowemi, które jednak najczęściej są słabo rozumiane i co do konsekwencyi nie mogą się równać ze ściśle logicznymi utworami pierwszych lat dzieciństwa.

Nawiasowo wspomnę tu o reakcyi, budzącej się nawet w t. zw. wieku szkolnym (lat 10) na niekorzyść katechizmu, której jednak nie trzeba mieszać z późniejszą młodzieńczą już, z lekkim podkładem naukowym, krytyką dogmatów katechizmowych. „W katechizmie — mówi dziesięcioletnia M. — jest, że Bóg łatwo przebacza grzesznikom, ale ja wiem, że tak nie jest, bo czemużby ich trzymał w piekle?”—„Ja wiem—powiada znów kiedyindziej, że trzeba mówić, że wszystkie osoby boskie są równe, ale wiem także że Bóg ojciec jest najstarszy”.

Ponieważ pragnę dać tutaj możliwie ścisły i zupełny obraz pojęć przyrodniczych i metafizycznych dzieci wspomnianego wieku, postaram się więc szczupły materyał doświadczalny, jakim rozporządzam, rozłożyć i oświetlić w sposób jaknajbardziej celowy. Dlatego też będę rozpatrywała pojęcia dzieci w porządku następującym:

I. Człowiek—ja—pojęcia osobnicze—egocentryzm. II. Zwierzęta i ich stosunek do ludzi. III. Teleologia. IV. Powstanie świata otaczającego V. Śmierć. VI. Bóg. VII. Aniołki. VIII. Dyabeł.

I. Co do własnej istoty—dzieci mają pojęcia dosyć niejasne. U bardzo małych dzieci obserwowano nawet istniejący przez czas dość długi brak zdolności wyosobniania własnego ciała, co je doprowadza nawet do tego, że bardzo boleśnie gryzą się w rączkę — czy nóżkę, nie wiedząc, że one same są przyczyną bólu. Jeszcze nawet trzyletnie dzieciaki identyfikują osobę własną z fotografią i cieniem — rzadko niezmiernie zdarza się tak subtelne rozróżnianie, jak u pewnej trzyletniej dziewczynki cytowanej u Sully'ego, która leżąc już w łóżku, zamyka oczy i mówi do swojej matki: „Ty mnie teraz widzieć nie możesz, mamo”. — „Ach, ty mała gąsko — mówi matka — to ty mnie widzieć nie możesz: ja ciebie widzę”. „O tak, ja wiem, że widzisz moje ciało, ale mnie widzieć nie możesz”. To jakieś astralne pojmowanie własnego ja jest wyjątkiem prawie — przeważnie istota odrębności psychologicznej słabo jest rozumianą przez dziecko.

Widzimy za to u wszystkich prawie dzieci gruby egocentryzm — są one przekonane, że świat tylko dla nich jest stworzony, że bez ich maleńkich istotek rodzice byliby bardzo nieszczęśliwi. „Ty pewno ciągle płakałaś, gdy mnie jeszcze nie było” — bada mała o której nam opowiada Sully. „Czyż i ja także umrę, jak będzie koniec świata?” ze zdumieniem i niedowierzaniem mówi dziesięcioletnia M. „Jak to było wszystko przedemną?” z całą naiwnością dziwi się inna. Antropocentryzm, który także w nader jaskrawej formie u dzieci się wyraża, przedstawimy nieco później — tutaj pomówimy jeszcze o ich ciekawych pojęciach, dotyczących t. zw. duszy oraz fizycznej strony człowieka. Łatwo zrozumieć, że czysto abstrakcyjne pojmowanie duszy nie jest możliwem u dzieci—chociaż w mojej praktyce pomiędzy wieloma faktami — dwa razy (u jednego i tego samego dziecka) zdarzyło mi się zaobserwować pojęcia prawie oderwane, zakrawające nawet na syntetyczne (indukcyjne) tworzenie duszy. Ośmioletnia dziewczynka z natury zdolna i obdarowana ścisłym i bystrym umysłem, ale bardzo mało „rozwijana”, a więc mająca niewielką ilość dogmatów narzuconych z zewnątrz; prowadzi rozmowę następującą: „Ptak ma duszę”. —„Po czem to poznajesz?” — „Ja go biorę, on się trzęsie, to znaczy czuje i ma duszę”.—„I zwierzęta też mają duszę”. Jakżeż to poznać możesz? przecież konia wziąć w rękę nie możesz?” „Ale jego oczy widzę i jak rży — o, on ma napewno duszę”. Co do żaby — dziecko ma poważne wątpliwości. W dalszym ciągu naszej rozmowy moja mała interlokutorka pyta: „po czem pani poznaje czy pies jest chory, gdy je i jest wesoły” dodaje, uprzedzając moje możliwe odpowiedzi. Odpowiadam, że niewiem, a ona na to: „No przecież oczy ma takie zmęczone”, przypuszcza więc wprost psychiczne powody i objawy choroby. Kiedyś znowu taż sama S. z powodu jakiejś rozmowy o niebie i piekle tak objaśniała pośmiertne dzieje człowieka: „U człowieka sama złość albo dobroć idzie do djabłów albo do nieba, a dusza zostaje”. Umiała tu odmateryalizować nasze pojęcie duszy — to bowiem, co ona nazywa „duszą” jestto tylko mózg, który widziała na obrazku. Ciekawym przykładem pewnego odmateryalizowania ciała jest powiedzenie sześcioletniego J. który zapytany przy oglądaniu obrazków: „Jakżeż mówisz, ze to są aniołowie, kiedy oni skrzydeł nie mają?” — odpowiada: „Ale oni mają, tylko nie widać”.

Po za tymi jednak przykładami dzieci wyobrażają sobie duszę nader konkretnie, jak np. dziesięcioletnia M. w postaci serca „w którem siedzi anioł, mówiący: nie rób tego”.—Katechizmowa nieśmiertelność jest dla nich pojęciem stanowczo za trudnem — radzą sobie na to jak mogą—czasem przypuszczając, że na sądzie ostatecznym Bóg nanowo stwarza człowieka.

Co do miejsca osiedlenia duszy: umieszczają ją najczęściej „wszędzie” t. j. w całem ciele, czasem w głowie lub sercu. Jedna maleńka czteroletnia dziewczynka skarżyła się że jej lalka niema „rozumu w oczach“.

Ciekawe bardzo, choć dość dalekie od rzeczywistości mają dzieci wyobrażenia o anatomii i fizyologii ciała ludzkiego. Pewna ośmioletnia dziewczynka mówi: „Myślałam, że człowiek ma cztery rurki (przełyki przyp. aut.) jedną na wodę, inną na konfitury i słodkie rzeczy, jeszcze inną na mięso i chleb”. — Mały chłopiec twierdził, że płuca są to długie worki i wypuszczają powietrze, poczem worki te klapią, jak gumowa piłka. Wyjątkowo tylko i to u starszej dziewczynki (lat 10) zdarzyło mi się usłyszeć pytanie świadczące o głębszem zastanowieniu: „Jak to w człowieku wódka robi pijaność? W jego komórkach, jak się to dzieje?“

(d. n.).

J. Idzikowska.

LITERATURA I SZTUKA

Słowacki na scenach polskich.

III.

Na krótko przed wydaniem w książce „Lilli Wenedy”, w poznańskim „Tygodniku Literackim” ukazała się wzmianka „życzliwa”: „P. Juliusza Słowackiego tragedya „Lilla Weneda” wkrótce wyjdzie z druku. Jest ona (jak nam jeden z szanownych literatów donosi), równie jak i pierwsze płody tego autora, *mało zrozumiała dla czytającego*”. Od czasu wydania tragedyi, poprzedzonej taką zapowiedzią „jednego z szanownych literatów”, upłynęło lat sześćdziesiąt i sześć, ale dziś jeszcze, czytając to, co się u nas o „Lilli Wenedzie” pisało i pisze, przychodzi się chwilami do wniosku, że to arcydzieło wielkiego poety pozostało do ostatniej chwili—nie tyle może dla czytających je, ile dla piszących o niem—mało zrozumiałem.

Ale bo też o „Lilli Wenedzie”, jak o większej części arcydzieł naszej poezyi rozpisywali się dotąd głównie profesorowie literatury, historycy i filologowie, politycy nawet, nie mówiąc już o reporterach i plotkarzach literackich; rzadziej stosunkowo odzywali się o niej estetycy i poeci, których jednak, jako najwrażliwszych na objawy piękna, uważałbym za najkompetentniejszych do wydawania sądu o dziełach poetyckich. Sąd taki, jeden z pierwszych po wyjściu tragedyi, wydał istotnie poeta, i to niebylejaki, bo Zygmunt Krasiński. Tym razem jednak autor „Irydyona”, odczuwający zwykle nastroje poetyckie przyjaciela i wypowiadający nieraz o dziełach jego poglądy trafne i głębokie, zrażony był nieco do przesłanego mu z przedmową cudowną poematu postaciami Ślaza i św. Gwalberta, tego ostatniego zwłaszcza, i skarżył się w imieniu Lilli Wenedy na to nieodpowiednie towarzystwo. Krasiński chwalił zresztą pomysł mytu o Lelum i Polelum, zachwycał się „białą Antygoną” Lillą, ale może właśnie dlatego, że przeniknął właściwe znaczenie św. Gwalberta, niezupełnie zgodne z tem nawet, co sam autor pisze o nim w przedmowie, zżymał się, dotknięty żywo w swych katolickich uczuciach.

W każdym razie jednak Krasiński wychodzi w swych poglądach ze stanowiska estetycznego; potem dopiero zaczęły się rozprawy historyczne o Lechitach i Wenedach (Małecki, Nehring i inni), dysertacye estetyczno-polityczne hr. Tarnowskiego lub zarzuty w rodzaju tego, który sformułował Chmielowski, uważający, że środki, za pomocą których myśl zasadnicza dramatu przeprowadzona została, nie mogą być uznane za trafne i przekonywające: „są one ładne i poetyczne, jako fantazya, lecz *rozważane z realnego punktu widzenia* rażą nieprawdopodobieństwem (nakarmienie starca liliami, oczarowanie wężów muzyką)”. Nie przeszkadza to zresztą zasłużonemu badaczowi piśmiennictwa uważać „Lilli Wenedy” „pod względem uczuciowym” za najbardziej wzruszający ze wszystkich dramatów Słowackiego i zachwycać się „pięknością wykonania” scen niektórych. Szereg utworów i rozpraw o tej tragedyi uwieńczyła praca dr. W. Hahna p. t. „Geneza Lilli Wenedy”, gdzie autor przy pomocy mozolnych, drobnowidzowych niemal zestawień i cytat, usiłuje wykazać zależność Słowackiego od Chateaubrianda, Schillera, Calderona, „Eddy” i t. d., co zresztą przy ocenie istotnej wartości dzieła odgrywa w gruncie rzeczy rolę małą.

Badacze, poświęcający długie rozprawy zagadnieniom, związanym z t. zw. tłem historycznem „Lilli Wenedy”, zdają się zapominać, że w tego rodzaju utworach tłem jest przedewszystkiem dusza poety, że w niej właściwie i w niej tylko odgrywa się to wszystko, co potem przesuwa się w dziele przed oczyma czytelnika czy widza, że więc ci Wenedzi i Lechici, ci harfiarze, wojownicy i wróżki, ci rycerze i święci nie istnieli naprawdę nigdy i nigdzie poza wyobraźnią twórczą poety, który z rzeczywistością i „prawdą dziejową” nie ma obowiązku się liczyć, bo dla niego istnieje inna rzeczywistość i prawda inna. Wolne, lotne, przebogate królestwo fantazyi to świat, w którym on panuje wszechwładnie. A wobec tego obojętne są zgoła pytania, czy „główny pomysł Juliusza co do zawiązku narodu naszego” zgadza się, czy się nie zgadza z tradycyą, przekazaną przez kronikarzy, czy prawdziwy św. Gwalbert żył w tym, czy w innym wieku i czy miał poza nazwiskiem co wspólnego z postacią, wyprowadzoną przez poetę. Rozumiał to i czuł prof. Nehring, który sam zauważył, że wchodzenie w takie szczegóły znaczyło tyle, „co woń poezyi zepsuć zwietrzałym pyłem książkowym”.

A pisarze trzeźwi i spokojni w rodzaju takich zasłużonych skądinąd historyków literatury, jak Małecki lub Chmielowski, ważący dzieła Słowackiego przedewszystkiem na szali rozumu, sami niekiedy widzą się zmuszonymi przyznać w stosunku do niego bezsilność tej swojej metody „Juliusz—pisze Małecki przy końcu swego rozbioru „Lilli Wenedy”—pomysły swoje pojmował tylko uczuciem, imaginacyą. Jego logiką — nie była rozumowa, refleksyjna, więc prawdziwa logika. Stądto u niego zawsze między ideałem a cielesnem wyrażeniem tegoż ideału—przestrzeń ogromna. Pozostaje we wszystkiem coś niedomówionego. Domysłowi czytelnika otwarte wszędzie szerokie pole, granice tego pola niedojrzane okiem cielesnem. Stądto w płodach jego zawsze jakaś irracyonalność, dla której trudno je przełożyć, że tak powiem, z języka fantazyi na język myśli, na język zwyczajnej w ścisłym sensie logiki”. I o to też według nas idzie, że ich na ten język przekładać nie trzeba, lecz to, co z wyobraźni i uczucia poczęte, oceniać wyobraźnią i uczuciem. Rozumieją to już u nas nowi krytycy z Matuszewskim na czele, ci zwłaszcza, którzy są przedewszystkiem estetykami, nie filologami lub historykami; pokolenie starsze pogodzić się nie mogło z zasadą, wypowiedzianą jeszcze przecież przez Mickiewicza, że w pewnych razach „czucie i wiara” silniej przemawiać może i widzieć więcej, „niż mędrca szkiełko i oko”. Twórczość wielkich artystów — mówi słusznie Feldman w swej pięknej książce o Wyspiańskim i Żeromskim—jest żywiołowa, bezwiedna, od procesów świadomości mało zależna. Owe olbrzymie asocyacye ideowe, owe nieokiełznane wichry fantazyi, owe ślepe rzucanie się w otchłanie największych niebezpieczeństw nie są dziełami chłodnego rozumowania, nie są pracą literata przy biurku, lecz przedstawiają potęgi nieobliczalne a tajemnicze, które możemy obserwować, podziwiać, nie zaś okiełznać, ani też rozumieć”. Uważa on je za podobne do innych zjawisk żywiołowych natury, wobec których możemy zajmować odpowiednie naszym uczuciom stanowisko i wypowiadać wrażenia i myśli, jakie w nas budzą, byleby tylko nasz sposób interpretowania wielkich objawień Nieświadomego, wielkich dzieł natury, opierał się na danych, dostarczonych przez te dzieła, i miał wewnętrzną logikę, „związaną z nimi konieczność”. Poglądy te, wypowiedziane przez autora pod adresem artystów tego typu, co Wyspiański, zastosować się dadzą w zupełności i do Słowackiego, w momencie zwłaszcza, gdy z pod pióra jego wypływała „Lilla Weneda”.

Jeśli tak jednak, jeśli wielkie dzieła sztuki uważać za zjawiska żywiołowe, to w cóż się obrócą różne archeologiczno-filologiczne dociekania w rodzaju rozprawy p. W. Hahna o genezie „Lilli Wenedy”? Nie cofnę się przed twierdzeniem, że do wniknięcia w treść i istotę dzieła, w jego wartość rzeczywistą, przyczynić się mogą niewiele, i mnie przynajmniej wydają się wysiłkiem, któryby można zużytkować korzystnie w innym kierunku. Tysiące ludzi czytały w przypisku do „Wędrówek Child-Harolda” rzekomy napis nagrobkowy o Julii Alpinuli, równie jak i dzieła Chateaubrianda, Schillera i Calderona, ale „Lillę Wenedę” mógł stworzyć tylko Słowacki. Ona poczęła się w duszy jego, a tamte „wpływy” wszystkie odgrywały rolę przypadkową, mogły być lub nie być, wpłynęły może na ten lub ów szczegół drugorzędny, ale czyż to nie wszystko jedno?

Geneza utworu? Któż do jej źródeł rzeczywistych dotrze? Idąc dalej metodą filologiczną, trzebaby szukać z kolei, skąd ten lub ów obraz wziął się u Byrona, Schillera lub Chateaubrianda, i tak, być może, bez końca. Lecz czyż dla odczucia piękności i woni świeżo rozkwitłej róży mamy koniecznie doszukiwać się wszystkich pierwiastków chemicznych, które w głębi ziemi wchłaniały bezwiednie rozgałęzione korzenie jej krzewu? W stosunku do Słowackiego, który w dobie pisania „Lilli Wenedy” tworzył gorączkowo, pracując jednocześnie prawie nad kilkoma wielkiemi dziełami, wolimy iść doprawdy za wskazówkami samego poety i uwierzyć mu poprostu, gdy nas w liście do Krasińskiego zapewnia: „Zaprawdę ci powiadam, jam tych mar nie wołał — przyszły same; przyprowadziła je z sobą biała Lilla Weneda; a ja, ujrzawszy ten tłum ludzi, harf złotych, hełmów, tarcz i mieczów dobytych, usłyszawszy głosy zmieszane dawno już wymordowanego ludu, wziąłem jedną z harf wenedyjskich do ręki i przyrzekłem duchom powieść wierną i nagą, jaka się posągowym nieszczęściom należy”. Mamy jeszcze i inne, wcześniejsze nieco świadectwo w dedykacyi „Balladyny”, gdzie poeta spowiada się przed druhem, że cienie już różne ludzi niebyłych wyszły ze mgły przedstworzenia i otaczają go ciżbą gwarzącą; potrzeba tylko, aby się zebrały w oddzielne tłumy, ażeby czyny ich ułożyły się w postaci piramidalne wypadków, a jedną po drugiej garstkę na świat wypychać będzie w nadziei, że sprawdzą się może sny jego dzieciństwa. „Bo ileż to razy,—dodaje,—patrząc na stary zamek, koronujący ruinami górę mego rodzinnego miasteczka, marzyłem, że kiedyś w ten wieniec wyszczerbionych murów nasypię widm, duchów, rycerzy; że odbuduję upadłe sale i oświecę je przez okna ogniem piorunowych nocy, a sklepieniom każę powtarzać dawne sofoklesowskie: „niestety!”

A gdybyśmy do tych „snów dzieciństwa” spróbowali dorzucić wrażenia, odebrane tak niedawno przez samego poetę, to niegasnące w jego duszy wspomnienie o walce na śmierć i życie dwóch bratnich narodów, walce, na którą patrzał własnemi oczyma, którą znał z opowiadań tysięcznych, na której wspomnienie rumienić musiał się czasem, to może nie wydałoby nam się przypadkowem ogłoszenie razem z „Lillą Wenedą” innego, pełnego bólu utworu, gdzie poeta „smutny i sam pełen winy” nie śmie się zbliżyć do termopilskiej mogiły, pamiętając aż nadto dobrze, że pochodzi „z kraju smutnego Ilotów, z kraju, gdzie rozpacz nie sypie kurhanów, z kraju gdzie zawsze po dniach nieszczęśliwych zostaje smutne pół-rycerzy — żywych”. Jeżeli z czem łączy się ideowo „Lilla Wene-

da", to właśnie z „Grobem Agamemnona" i ze wspomnieniami palącemi bolesnych wypadków r. 1831, ale nie z dalekiemi echami bajecznych walk lechicko-wenedzkich stanowiących tylko piękną dekoracyę, szereg mar i obrazów, które w piorunowych blaskach zjawiły się same. Nie możemy tu już rozwijać myśli tej szerzej, przypomnimy tylko, że z pisarzów starszych Michał Bałucki w swej młodzieńczej rozprawie o kobietach w dramatach Słowackiego widział właśnie w „Lilli Wenedzie" coś jakby echo wypadków niezbyt odległych, jakby głosy naszych własnych piersi: „poeta, — mówił on, — malując tamte czasy, miał za model świeże boleści swego narodu i w jego niezaschłych ranach maczał pióro dla kreślenia rozpacznej walki Wenedów". W tem oświetleniu zrozumialszym się stanie i piękny symbol harfy derwidowej, który zresztą, jak „złoty róg" w „Weselu", każdy po swojemu tłomaczyć sobie może, zależnie od wywołanego nastroju, i rozpacz Rozy Wenedy, z jaką opowiada harfiarzom o tych sześciu tysiącach, którzy na jedno słowo „giniemy" padli bez ducha, nie tknięci żelazem, z sercami, trzęsącemi się, jak liść olchowy, lub z kłębami robaków zamiast serc, albo zgoła z piersiami pustemi. W tem oświetleniu zrozumialszemi będą i końcowe, pełne goryczy okropnej słowa Polelum, zwrócone do Lecha i św. Gwalberta:

„Boże, patrzaj z nieba
Na tych dwóch ludzi przed stosem Weneda
Konającego — patrzaj na tych ludzi
I pomyśl, jakim ty dajesz stworzeniom
Chwilę tryumfu i urągowiska!
I przyszli, kiedy mój lud cały skonał!
I przyszli, kiedy mój brat już nie żyje!
I przyszli, kiedy niebo oświecone
Łunami stosów, gdzie się palą trupy
I tu mi dają życie. O stworzenia!
Czuję nad wami w sercu wielką litość
I wielką wzgardę!"

Czy jednak słów tych, jak chcą niektórzy, nie można odnieść do osobistych przejść poety, do jego zatargów z krytyką, która od początku usiłowała go szarpać za pięty? Możliwe... To jednak nie wyłącza bynajmniej hypotezy poprzedniej, bo z tem już zgodzić się musimy, że na każde wielkie dzieło sztuki składa się różnolity splot czynników, w którym najrozmaitsze, pozornie najsprzeczniejsze nici odnaleźć się dadzą.

Słówko jeszcze należy się św. Gwalbertowi i Slazowi, którzy tyle krwi napsuli już wszystkim krytykom „Lilli Wenedy", od Zygmunta Krasińskiego począwszy. Nie szukając Calderona i Schakespeare'a, po stać Slaza wytłomaczył sam poeta w przedmowie, jako „mniejsze mrówki ludzkości, pełne kłamstwa, wybiegów, tchórzostwa". Gorzej ze św. Gwalbertem, co do którego — jak przypuszczać można — Słowacki nie zupełnie jest szczery w swym liście drugim do autora trzech psalmów. Ten „stary i święty człowiek, który przyszedł łzawe Chrystusa oliwy zaszczepiać na płonkach sosnowych", czyżby był rzeczywiście postacią zbyteczną, wałęsającą się tylko po scenie, mieszającą się do wszystkiego i niezdolną nic pomódz Wenedom, choć Lilla tak obietnicom jego zaufała? Nie sądzimy. W okresie pisania „Lilli Wenedy" Słowacki postaci zbytecznych nie tworzył. W tym czasie natomiast skrystalizował się już był pogląd jego na stosunek Polski do klerykalizmu, który wkrótce potem znalazł wyraz w „Beniowskim", w pamiętnym zwrocie do Polski: „krzyż twym papieżem jest — *twa zguba w Rzymie*! Jeżeli przypomnimy sobie scenę papieską w „Kordyanie" i istotny stosunek papieża do ruchu wolnościowego w Polsce, to i postać św. Gwalberta przestanie być zagadkową.

A idea przewodnia „Lilli Wenedy"? Pół żartem, pół seryo dał na to odpowiedź sam Słowacki w przeznaczonej w r. 1841 dla „Orędownika" rozprawce p. t. „Krytyka krytyki i literatury", gdzie, wydrwiwając różnych poznańskich krytyków, doszukujących się wciąż w utworach poetyckich symbolów, alegoryi i idei, o których się autorowi nie śni, mówi wręcz przez usta wprowadzonego do dyalogu Schakespeare'a: „Idei?... Ja nie wiem... ale ja bez żadnej idei piszę... Rzecz stworzoną nazywam pomysłem... z pomysłu wynikają naturalnie figury i charaktery — charaktery znów oddziaływają na pomysł... Jest zaś jakieś monotonne usposobienie duszy, która to wszystko harmonijnie i jedną barwą oblewa"... „Aby pisać — twierdził natomiast — trzeba mieć coś pięknego przed oczyma imaginacyi — rzecz rozwidniającą się stopniami, obszerną jak świat, pełną ruchu i życia"... (Cytowane według Tretiaka). To „coś pięknego" przed oczyma wyobraźni, „coś obszernego jak świat, pełnego ruchu i życia" Słowacki miał niewątpliwie, gdy tworzył „Lillę Wenedę". A na jej tle bogatem jest dosyć miejsca i dla potężnych, pełnych grozy obrazów panującej nad wszystkiem, ogarniającej wszystko miłości ojczyzny (Roza Weneda), i dla bezgranicznego poświęcenia dla ojca, braci i współbraci (Lilla Weneda), i dla dumy nieugiętej wobec wroga (Derwid), i przedewszystkiem dla wspaniałego obrazu ginącego narodu, który, utraciwszy złotą harfę wiary w powodzenie swej sprawy i zwycięstwo, umie się zdobyć przynajmniej na śmierć piękną, pozostawiając dalsze dzieło dalekim mścicielom przyszłości.

Wł. Bukowiński.

NOWE KSIĄŻKI.

Na wsi u wuja doktora. Książka dla rodziców. Napisał Max Oker-Blom dr. med. docent fizyologii. Z niemieckiego przełożyli: Marya i Stanisław Krauzowie. Warszawa Nakładem Księgarni Naukowej, 1906 str. 33.

Sprawa uświadomienia dzieci została już przesądzona w kołach pedagogów i rodziców; uznano i stwierdzono ogólnie bardzo niepożądany wpływ okłamywania dzieci w sposób mniej lub więcej zręczny a zawsze nie prowadzący do celu, gdyż niepowołani towarzysze wyprowadzają je z błędu bardzo szybko. Rodzice powinni pamiętać zawsze o zasadzie, że lepiej o rok zawcześnie, niż o godzinę zapóźno". Jest to jednak sprawa poważna i należy się brać do niej bardzo umiejętnie Trudnościom, nastręczającym się tutaj, do pewnego stopnia zaradzało parę broszurek, przyswojonych naszej literaturze; przybywa obecnie do nich książeczka dr. Oker-Bloma, która posiada wysokie zalety pedagogiczne. Jest ona przeznaczona dla rodziców, którzy powinni korzystać z odpowiedniej chwili i czytywać głośno dziecku opowiadania, objaśniając je i uzupełniając, stosownie do pytań ze strony dziecka. Autor bardzo umiejętnie objaśnia na zasadzie zdarzeń codziennych rozmnażanie się roślin, potem zwierząt, a wreszcie ludzi i wykazuje chłopcom skutki różnych złych nałogów.

Jest to książeczka, która powinna bezwarunkowo znaleźć się w rękach wszystkich rodziców, dbałych o rozwój moralny swych dzieci.

M. B.

Dr. Teodor Heller. **Pedagogika lecznicza** Z oryginału niemieckiego przełożył dr. med. Władysław Chodecki. Dodatek do „Przeglądu pedagogicznego". Warszawa. Str. 306. Praca dr. Hellera jest pożądanym nabytkiem w naszej literaturze pedagogicznej. Pedagogia wogóle zajmowała się dotąd przeważnie dziećmi normalnemi, zapominając, że są one niemal wyjątkami. Dzieci, uchylające się niewiele od typu normalnego, nie cierpiały bardzo na tem, ale te, u których nieprawidłowości w życiu duchowem wymagały uwzględnienia w wychowaniu, były ciężko krzywdzone, a błędy wychowania złamały niejedno młode istnienie. Obecnie jednak ujawnia się zwrot w pedagogii. Znakomite badania uczonego Kraepelina rozjaśniły wiele ciemnych zagadnień i wprowadziły do niej dużo zmian pożądanych. Niedawno zaprowadzona instytucya lekarzy szkolnych ma wdzięczne i obfite pole do pracy,—trzeba tylko, aby lekarz działał w porozumieniu z nauczycielem, aby przyswoił sobie pewne wiadomości metodyczne, a pedagog musi poznać objawy chorobliwe, zdarzające się tak często u dzieci, uznawanych za normalne.

Zarówno lekarz szkolny, jak pedagog, znajdą dużo niezbędnych dla siebie wiadomości i wskazówek w książce dr. Hellera; powinni ją również poznać i rodzice. Przekonają się wtedy, że dużo nieszczęść w wychowaniu dzieci można usunąć, jeżeli się zapobiegnie dosyć wcześnie i umiejętnie rozwojowi chorób nerwowych przez odpowiednie postępowanie; albo też, jeżeli się ma do czynienia z dzieckiem nienormalnem, nie będzie się żądało od niego rzeczy niemożliwych.

Ostatnie dwa rozdziały (O stanach nerwowych w wieku dziecięcym. Terapia i profilatyka. Opieka nad dziećmi umysłowo upośledzonemi i nerwowemi) zawierają dużo wskazówek, niezbędnych dla wychowawców wogóle; rozdziały poprzednie, omawiające idyotyzm, kretynizm, mongoloizm, różne objawy chorobowe, jak epilepsyę, pląsawicę, zaburzenia mowy, mają znaczenie bardziej specyalne.

M. B.

J. P. Müller. 15 minut dziennie dla zdrowia. **Mój system.** Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa 1906. Str. 173.

„Człowiek, nie pielęgnujący swego ciała, grzeszy przeciwko naturze, ta nie zna przebaczeni i mści się z matematyczną ścisłością". Wychodząc z założenia, że wszystkie stany chorobowe i wszystkie słabości fizyczne zawdzięczamy sobie samym albo rodzicom, autor zaleca swój system, wymagający mało czasu i skromnych przyrządów, a mający dawać wyniki nadzwyczajne. Rada: kochaj świeże powietrze i zimną wodę, szukaj promieni słońca—uznana jest już chyba przez ogół hygienistów. Nowością w „Moim systemie" są bardzo proste ćwiczenia wszystkich członków ciała, dokonywane bezwarunkowo codziennie, choćby przez chwilę, o ile możności na świeżem powietrzu lub przynajmniej w dobrze przewietrzonym pokoju, bez ubrania, codzienne kąpiele i nacierania letnią słoną wodą. Książka zawiera szczegółowe wskazówki, jak należy dokonywać ćwiczeń, i rozkład czasu, aby zużywać go jak najmniej.

M. B.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Gubernia Piotrkowska

STAN EKONOMICZNY

(Dokończenie).

Ogółem opodatkowanie na rzecz rządu przynosi skarbowi państwa dochód:

z ziemi dworskiej	321,468 r.
„ włościańskiej	397,830 r.
„ osad	30,089 r.
razem	749,387 r.

z budynków fabrycznych	13,149 r.
z domów miejskich	752,950 r.
z przemysłu	1,393,385 r.
z handlu	512,820 r.
Razem z ziemi, dom. i fab.	3,421,691 r.

Oprócz podatku rządowego gub. Piotrkowska opłaca jeszcze podatki na potrzeby miejscowe; podatki te dzielą się na: specyalne, gminne i podatki w naturze; wysokość każdego z nich, z gruntów poszczególnych kategoryi, przedstawia się tak:

Podatki	Specyalne	Gminne	Naturalne w pieniądzach	Razem z rządowemi
Z ziemi dworskiej	[illegible]	[illegible]6,925	[illegible]	643,[illegible]
Włościańskiej	[illegible]	[illegible]92[illegible]	[illegible]609	728,656
Osad	[illegible]92	[illegible]	[illegible]98	69,36[illegible]
Rządowej	[illegible]5	[illegible]	[illegible]	5,941
Razem	[illegible]	16[illegible]60	[illegible]09	[illegible],349,[illegible]

Na potrzeby miejscowe opłacają jeszcze podatek:

Budowle fabryczne na ziemiach wiejskich w ilości	43,820 r.
Przedsiebiorstwa handlowe i przemysłowe	235,440
Miasta.	105,520 r.
Razem .	384,760 r.

Oprócz tego miasta wyłącznie na swoje potrzeby opłacają podatki:

1) na szkoły	126,481 r.
2) na sądy pokoju . .	5,457
3) podymny dodatkowy	200,187
4) na oświetlenie . .	22,472
5) na bruki	150
6) dodatkowe składki .	1,270
7) Kanon	48,879
8) Szacunkowy . . .	249,746
9) w naturze	50,483
razem .	705,125 ru

bli, oprócz składki asekuracyjnej, która w 1899 roku wynosiła 144,514 r.

Ogółem zatem podatki na potrzeby miejscowe wynoszą:

Z ziemi:	specyalne. . . .	291,732 rb.
	gminne.	166,360
	naturalne	140,109
Z domów i przemysłu. . .		384,760
Na rzecz miast		705,125
	Razem	1,688,086 rb.

Główne rubryki wydatków na potrzeby miejscowe z podatków od ziemi stanowią:

(patrz tabelka szpalta następna).

Najwięcej pieniędzy pochłania utrzymanie szkół i dróg, a jednak i jedne i drugie nie są w należytym stanie, i dużo jeszcze trzeba dołożyć, żeby ilość i jakość szkół były wystarczające a drogi utrzymane w porządku.

Oprócz podatków bezpośrednich ludność gub. Piotrkowskiej opłaca jeszcze podatki pośrednie, których wysokość wynosi przeciętnie na głowę jednego mieszkańca Królestwa 9 r. 17 kop. Ponieważ gub. Piotr-

RODZAJ WYDATKÓW	Z ziemi dworskiej	Włościańskiej	Osad	Razem
[illegible]	[illegible]2[illegible]	[illegible]	[illegible]474	[illegible]
Transporta[illegible]	[illegible]68	[illegible]208	[illegible]700	[illegible]6[illegible]0
[illegible]	[illegible]14[illegible]	[illegible]09	[illegible]88	89,1[illegible]
Instytucye [illegible]	[illegible]	[illegible]64	[illegible]	[illegible]85[illegible]
Koszta lecz[illegible]	[illegible]	11,[illegible]96	[illegible]85	[illegible]69
Areszta	[illegible]	[illegible]021	[illegible]	[illegible]08
Szkoły	[illegible]	[illegible]20	[illegible]9	92,100

kowska posiada ludności 1,403,901 osób. Suma opłacanych podatków pośrednich, przypadająca na gub. Piotrkowską wynosi 11,873,763 rb. 17 kop.

Jeżeli następnie zechcemy wyrachować. wiele z ogólnej sumy opłacanych podatków na rozmaite potrzeby wypada na jedną osobę, to przekonamy się, że wypada podatków:

pośrednich na rzecz rządu	9 r. 17 k.
bezpośrednich	2 r. 43 k.
na potrzeby miejscowe . .	1 r. 20 k.
Czyli razem .	12 r. 80 k.

Gubernia Lubelska

Stan Ekonomiczny

Ziemia i ludność.

Gubernia Lubelska, położona na południowo - wschodnim krańcu Królestwa Polskiego, obejmuje 16,838 kilometrów kwadr., czyli 305,8 mil kwadr. rozległości. Grunt po większej części nierówny, wzgórkowaty, szczególnie w okolicach południowych, w ogólności jest urodzajnym, osobliwie w południowej części gubernii, gdzie ziemia składa się z glinki, czarnoziemu i borowiny; w wielu zato miejscach jak w Lubartowskiem, Kraśnickiem, w okolicach Tomaszowa i innych spotykamy grunta piaszczyste, żwirowate i sapowate.

Pod względem przestrzeni, gubernia Lubelska zajmuje drugie miejsce w szeregu gub. Królestwa; ogólna jej przestrzeń stanowi 2,786,239 mor,, albo według danych Komitetu statystycznego 1,482,287 dziesięcin; dzieli się: na ziemię dworską 713,411 dziesięcin, czyli 48,1% obszaru; na ziemię włościańską 671,296 dziesięcin, czyli 45,3% obszaru; na ziemię osad 34,557 dziesięcin, czyli 2,3% obszaru; na ziemię rządową 24,574 dziesięcin, czyli 1,7% obszaru; na ziemię miast 19,000 dziesięcin, czyli 1,3% obszaru; na ziemię drobnej szlachty 8,653 dziesięcin, czyli 0,6% obszaru; na ziemię innych właścicieli 10,796 dziesięcin, czyli 0,7% obszaru.

Pod względem stosunkowego obszaru ziemi dworskiej, gub. Lubelska ustępuje jedynie Kaliskiej, zato bardzo małym jest stosunek ziemi rządowej.

Ludność gubernii podług spisu, dokonanego w 1894 roku, wynosiła 1,160,662 osoby obojej płci—w tem 589,961 mężczyzn i 570,701 kobiet. W stosunku do przestrzeni 14.789,4 wiorst kwadr., na jedną wiorstę wypada 78,49 mieszkańców. Do najwięcej zaludnionych powiatów należy Lubelski 97,88 mieszkańców na wiorstę kwadratową i Nowoaleksandryjski 97,43 mieszkańców, najmniej są zaludnione powiaty: Janowski 67,89 mieszkańców na wiorstę kwadr. i Biłgorajski 64,19 mieszkańców na wiorstę kwadr., w reszcie powiatów gęstość zaludnienia waha się od 72,39 mieszkańców na wiorstę w Lubartowskim do 81,41 w Tomaszowskim.

Z ogólnej liczby ludności 160,824 zamieszkuje miasta, reszta wsie i osady.

Osób dotkniętych kalectwem fizycznem gub. Lubelska liczy 3,056, w tej liczbie 1771 mężczyzn i 1286 kobiet. Według rodzaju kalectwa osoby te dzielą się:

na ślepych od urodzenia	329	czyli na	100,000	— 29
oślepłych	449	„	„	— 38
głuchoniemych	1221	„	„	—105
niemych	330	„	„	— 28
chorych umysł.	728	„	„	— 67

Z tablicy tej okazuje się, że z pomiędzy rodzajów kalectw,najwięcej w gubernii spotyka się głuchoniemych.

Pod względem umiejętności czytania i pisania gub. Lubelska zajmuje w Królestwie jedno z ostatnich miejsc, niżej od niej stoją tylko dwie gubernie: Kielecka i Radomska.

Procent umiejących czytać i pisać w 1897 roku wynosił:

w miastach	mężczyzn	50,6	kobiet	32,1
na wsi	„	25,5	„	16,2
w ogóle	„	29,3	„	1,82

Procent ten jednak jest nieco niesprawiedliwym z tego względu, że przy spisie zaliczono dzieci do lat 10, z pomiędzy których umiało czytać zaledwie 3% chłopców i 2,5 dziewczynek. Największy procent piśmiennych spotykamy w wieku od lat 20—29:

w miastach	mężczyzn	64,6	kobiet	46,6
na wsi	„	41,3	„	28,5
w ogóle w gub.	„	50,4	„	30,8

najsłabszy odsetek piśmiennych wypada na ludność w wieku lat 60 i więcej—w całej gubernii 18,8% mężczyzn i 11,3% kobiet.

Z ogólnej liczby piśmiennych, wykształcenie wyższe od początkowego otrzymało mężczyzn 1,41% i kobiet 0,71%, z tej liczby w uniwersytetach 0,13%, w specyalnych wyższych zakładach 0,06%, w specyalnych średnich 0,14%,w średnich męzkich 0,97%, w średnich żeńskich 0,71%, w średnich wojennych 0,11%.

(C. d. n).

St. Staniszewski.

Z prasy polskiej.

W *Nowych Torach*, postępowym miesięczniku pedagogicznym, wychodzącym już blizko od roku wśród wielu artykułów treści zajmującej czytamy w zeszycie 6-ym następujące uwagi o 2-ch zjazdach księży prefektów:

Ujmowali nas prefekci za pierwszym razem swojem poniekąd rewolucyjnem wystąpieniem i cywilną odwagą wobec władzy arcybiskupa. Mimo nauczki, jaką odnieśli księża ze sposobu przyjęcia wysłańców wiecu księżowskiego, zgromadzili się w liczbie 60 i ośmielili się nawet program, ułożony „pod prezydencyą biskupa warszawskiego" i zatwierdzony za staraniem arcybiskupa, uznać „za szablonowy i niewnoszący żadnych nowych myśli". Wyrugować postanowili z wykładu religii rzeczy wprost krzyczące, szukali nowych dróg i t. p. Niestety, zjazd drugi nie wykazał nawet takich rzeczy. Nastąpił widocznie kompromis między władzą i śmielszymi prefektami. Zabezpieczeni ze strony grożącego stamtąd niebezpieczeństwa, ks. prefekci otwarcie zabrali się do odegrania pierwszej roli w szkolnictwie naszem. Wyczuwszy wsteczny i klerykalny nastrój w łonie naszego społeczeństwa, postanowili z tego korzystać i ująć w swoje ręce kierunek młodzieży. Środków ku temu postanowiono użyć wypróbowanych. Po co się głowić, zaiste, nad wymyślaniem rzeczy nowych? „*Urobienie* religijno-moralne", pojęte w duchu średniowieczczyzny, oto ideał, jaki przyświeca naszym pedagogom w sutannach. Nad treścią zapanowała forma.

Drugi zjazd pochłonęły prawie całkowicie obrady nad obowiązkowością praktyk religijnych, wypływającą rzekomo z „pobożności swobodnej i niewymuszonej". Ks. prefekci, poczytując widocznie owe praktyki za alfę i omegę całego wychowania religijnego, wprowadzać mają różne święta, odbywać z uczniami pobożne pielgrzymki etc. Czytelnikowi zdaje się, że przebywa w czasach saskich. Naraz przy końcu zjazdu ze zdumieniem słyszy tego rodzaju przemówienie ks. Gralewskiego: „Ani ksiądz polski nie ma w sobie materyału na tendencye klerykalne, ani w społeczeństwie polskiem niema gruntu dla klerykalizmu". Widocznie ks. prefekci szkół polskich są tymi wyjątkami przysłowiowemi, które potwierdzają regułę!

Jak pogodzić w sposób logiczny np. takie rzeczy? Ks. Gacek twierdzi, że prefekt „odpowiednio przygotowany w kierunku pedagogicznym", z obowiązku ma „prostować niedokładne pojęcia religijne, które świadomie lub bezwiednie może wpajać kolega-nauczyciel. A ks. Skwara słusznie dowodzi: „Rozdźwięk pomiędzy wiarą a sercem ucznia rodzi się nietylko z zepsucia, ale również z niezgodności nauczania świeckiego i religijnego. Przy układaniu programu religii należy brać pod uwagę programy wszystkich nauk, wykładanych w szkole. Nasz średniowieczny, scholastyczny sposób wychowania oddala nas od zdobyczy naukowych nowszych".

Najkapitalniejszym atoli przykładem rozumowania logicznego jest odpowiedź ks. Szkopowskiego, dana dr. Reddi'emu (dyrektorwi szkoły w Abbotsholme, w Anglii): „My u siebie żądamy obowiązkowego nauczania religii, opierając się na ludzie, który jest religijny i tego żąda". Pomijamy trochę z punktu widzenia katolickiego podejrzany dowód konieczności obowiązkowego nauczania religii. Więc, gdyby lud nie żądał tego, możnaby zarzucić z punktu widzenia katolickiego obowiązkowy wykład religii? Czyż wobec takiego logicznego wniosku z założenia ks. Szkopowskiego nie należałoby wyłączyć wykładu religii ze szkół średnich, gdyby tego żądali rodzice uczniów? Z drugiej strony na jakiejto zasadzie lud ma decydować w kwestyach, tyczących się kogo innego? Być może, że takie rozwiązanie sprawy jest wygodne dla księży, ale zgoła oparte na fałszywem rozumowaniu.

„Pragniemy, mówi dalej ks. Szkopowski, oprócz nauczanie nietylko na uczuciu, ale i na rozumie i pragniemy godzić wyniki postępu nauki poważnej z zasadami religii. Nie godzimy się tylko na hipotezy niestwierdzone, które przyrodnicy szczególniej starają się dogmatyzować". Pragnieniom tym z całej duszy przyklaskujemy, chcielibyśmy tylko wiedzieć, jakie to są nauki poważne i niepoważne, a szczególnie, aby ks. prefekci również nie dogmatyzowali w specyalności swojej, lecz opierali się na doświadczeniu i ściśle naukowych badaniach. Ks. Szkopowski w zapale krasomówczym stanowczo się zagalopował i bezwiednie wykazał niepospolite zdolności komiczne. Teologorisum teneatis, amici! — wytyka uczonym dogmatyzowanie?! Medice, cura te ipsum. Kilka tych uwag, nastręczających się przy odczytywaniu sprawozdań ze zjazdu ks. prefektów, w sposób dobitny charakteryzują przygotowanie naukowe naszych katechetów. Sami zgromadzeni w przystępie szczerości sarkali na „średniowieczny, scholastyczny sposób wychowania" swego, „oddalający ich od zdobyczy naukowych nowszych", wskazywali źródło braków wykształcenia swego: „Niepotrzebne nam małe seminarye dla dzieci, ale dobre szkoły ogólne, bo sztuczne hodowanie może tylko dać okaz cieplarniany".

Szkoda, że zebrani księża tak mały nacisk położyli na sprawę przygotowania naukowego prefektów. Chcąc nauczać kogoś, trzeba ku temu mieć odpowiednie kwalifikacye i zaprządz się do sumiennej pracy. Wtedy nie będzie takiej rażącej „niezgodności nauczania świeckiego i religijnego", na co zwrócił słusznie uwagę jeden z referentów. Należałoby np., zamiast zużywania energii nad sprawą praktyk pobożnych, pisać możliwe podręczniki szkolne z zakresu „nauki" religii, aby wyrugować natychmiast dotychczasowe, które z różnych powodów wołają o pomstę. Co prawda, wymaga to więcej wysiłku, niż odbywanie pielgrzymek, obchodzenie uroczyste różnych świąt i t. p. Trzeba się uczyć: upłynął wiek złoty!

Zjazdy prefektów dały nam jeden bardzo poważny rezultat—kończy autor artykułu. —Przekonać się z nich można dowodnie o zachłanności naszych prefektów, z jaką chcą ująć w swe ręce ster szkolnictwa polskiego, o ich wstecznych, klerykalnych zakusach. Poważne „czarne niebezpieczeństwo" zagraża kiełkującym dopiero uczelniom naszym. Początek roku szkolnego dowiódł, że zorganizowani pedagogowie w sutannach występują do walki, że po kilku, rzekomo z powodu braku czasu, wchodzi do jednej szkoły. Czas wyświetli jeszcze lepiej ich zamiary i sposoby działania.

W tych wyjątkach z obszernego artykułu znajdzie czytelnik zarówno charakterystykę zjazdu, o którym w *Prawdzie* dotąd nie pisaliśmy, jak pisma, które na poparcie inteligentnego ogółu ze wszechmiar zasługuje.

Z życia rosyjskiego.

„Na dzień 20 października—pisze *Now. Wrem.* — zapowiedziany został w Wilnie zjazd rosyjskich organizacyi społecznych kraju Zachodniego. O ile nam wiadomo, myśl zjazdu zainicyował „Północno - Zachodni Wiec" w Wilnie—organizacya bezpartyjna, mająca na widoku obronę rosyjskich narodowych i ekonomicznych interesów w kraju Północno-Zachodnim.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości fakt, że interesom tym zagraża cały szereg niebezpieczeństw, że niewyraźna pod względem narodowym i zgnębiona pod względem ekonomicznym Białoruś właśnie w chwili obecnej przeżywa moment krytyczny. Dość wskazać rolę ekonomiczną wielkiej polskiej własności ziemskiej z jednej strony, a kapitału i proletaryatu żydowskiego—z drugiej nadzwyczajne pogmatwanie stosunków religijnych, przeważnie związanych nierozłącznie z narodowymi, wreszcie na pretensye autonomiczne Litwinów, przyczem interesy kulturalno-narodowe mieszają się z politycznymi.

Gdy zaś o interesach polskich, litewskich i żydowskich mówi się wszędzie, ciągle i bardzo głośno, o interesach rdzennej masy rosyjskiej mówi się tak cicho, tak nieśmiało, jak gdyby szło o rzecz niezasługującą na niczyją uwagę, o coś całkiem nieznacznego w stosunku do interesów polskich, litewskich i żydowskich. Sprawa nabiera takiego charakteru, jak gdyby Rosyanie w kraju Północno-Zachodnim byli jakiemiś przelotnymi ptakami, które dziś są tam, a jutro może i śladu po nich nie być—i dlatego niema co nawet brać ich pod uwagę. Tak istotnie pisał niedawno jeden z poważnych dzienników polskich, starannie odróżniając „Białorusinów" od „Rosyan" i nazywając Rosyanami wyłącznie Wielkorosyan. Tej samej metody używa i prasa litewska. Wszystko to świadczy tylko o tem, że i Polacy i Litwini zapalają się nadmiernie i uważają, że 5 i pół miliona Białorusinów można poprostu zagarnąć u narodu rosyjskiego pod hasłem jakiegoś specyalnego samookreślenia białoruskiego, przygotowywanego czy to w laboratoryum pp. Lednickich i Wróblewskich, czy też w redakcyi *Vilniaus Žinios*.

Sądzimy, że pomimo całej szczupłości informacyi, jakie posiada społeczeństwo rosyjskie o Rosyi Zachodniej, a w szczególności o kraju Północno Zachodnim, nie jest ono jednak do tego stopnia nieinteligentne i bezwładne, aby mogło obojętnie i bez szemrania patrzeć na te sztuki, jakie dokonywane są na rosyjskim organizmie narodowym pod hasłem samookreśleń to specyalnie białoruskich, to specyalnie maloruskich, „ukraińsko - ruskich", poprostu „ruskich" i całej masy innych.

Z całego serca życzymy powodzenia zjazdowi wileńskiemu, i przekonani jesteśmy głęboko, że będzie on początkiem poważnego i wszechstronnego wyjaśnienia potrzeb tej rosyjskiej masy ludowej, która całą swą przeszłością i teraźniejszością nierozłącznie związana jest z całą Rosyą i na obszarze zachodu rosyjskiego liczy 30 milionów dusz".

W sprawie istniejących dla Polaków ograniczeń w nabywaniu ziemi na Litwie, Ukrainie, Podolu i Wołyniu *Birż. Wied.* pomieściły następujące uwagi.

„W ostatnim numerze *Praw. Wiest.* zamieszczone zostało zwykłe ogłoszenie państwowego banku szlacheckiego o sprzedaży przez publiczną licytacyę majątków, za które nie wniesiono rat zaległych. W ogłoszeniu tem szczególną uwagę zwraca zdanie następujące: „Osoby, pragnące wziąć udział w licytacyi na majątki, położone w dziewięciu guberniach zachodnich, a mianowicie: wileńskiej, kowieńskiej, grodzieńskiej, witebskiej, mohylowskiej, kijowskiej, wołyńskiej i podolskiej,—powinny przed rozpoczęciem licytacyi złożyć zaświadczenie, iż nie należą do osób pochodzenia polskiego; świadectwa takie wydawane są przez miejscowych generał-gubernatorów i gubernatorów.

„Wiemy—piszą dalej *Birż. Wied.* — że bank szlachecki założony został w epoce Aleksandra III ze specyalnym celem utrwa-

lenia bytu rosyjskiej, w ciasnem znaczeniu tego słowa, szlachty osiadłej na roli. Na kresach z ludnością mieszaną miał on na widoku zadania rusyfikacyjne i miał pełnić te funkcye, co niemiecka instytucya kolonizacyjna w Poznańskiem. Jednak przepaść cała dzieli nas od tych czasów, kiedy była zatwierdzona ustawa banku szlacheckiego. Z zasadami manifestu z d. 30 paźdz. powinny być pogodzone i wszystkie dawniej ogłoszone przepisy prawodawcze. Jeśli nawet w kwestyi tak bardzo palącej, jak szkolna, rząd porobił bardzo istotne ustępstwa, dyktowane przez ducha czasu i uznał prawo narodowości nierosyjskich do języka ojczystego w szkole, to tembardziej nie może on odmówić wszystkim obywatelom rosyjskim, bez różnicy narodowości i wyznania, prawa nabywania ziemi tam, gdzie im się to podoba".

Zjazd członków partyi „Wolności ludu" w Helsingforsie wobec odezwy wyborskiej zajął stanowisko, które *Strana*, organ Maksyma Kowalewskiego, nazywa dwulicowem.

„Kwestya aktu wyborskiego czytamy tam—dlatego postawiona została tak ostro, że taki lub inny stosunek względem niego musiał określić wreszcie dokładnie podwójne oblicze partyi kadeckiej, pchnąć ją albo na drogę efektownego,ale nietrwałego istnienia nadzwyczajnej organizacyi od nadzwyczajnych wypadków, albo też na drogę mniej efektownego, ale zato trwałego bytu partyi prawdziwie parlamentarnej,która zresztą w pewnych warunkach zmuszona byłaby pozostawać na drugim planie.

„Wyzwania tego partya na zjeździe helsingforskim nie przyjęła i wolała pozostawać przy dawnej dwulicowości. Balansowanie i błądzenie wśród sprzeczności pozostają charakterystycznemi cechami partyi kadeckiej i po uchwałach helsingforskich, wnosząc do partyi ducha rozterki wewnętrznej i stopniowo wyczerpując jej członków.

„A oto dowód, że tak jest naprawdę. Zastanówcie się nad znaczeniem następującej uchwały helsingforskiej: „Rozpowszechnienie odezwy wyborskiej zjazd uważa za niezbędne dla zapoznania ludności z ideą oporu biernego, lecz nie w celu zachęcania ludności do jego natychmiastowego urzeczywistnienia".

„Jakim sposobem odezwa, redagowana z myślą wywołania wśród ludności natychmiastowych czynów, może stać się czynnikiem propagandy czysto ideowej? Czyż nie jest rzeczą jasną, że dla tego ostatniego celu powinno być opracowane coś, coby całkiem niepodobne było do odezwy wyborskiej, sam zaś dokument powinien być poprostu zapomniany, jako nieprzyjemne przypomnienie o nieudanym kroku nadzwyczajnym".

W tej samej sprawie *Rus. Wied.* wypowiedziały się następująco:

„Uważalibyśmy za wielkie niebezpieczeństwo dla partyi konstytucyjno-demokratycznej dalsze dążenie drogą, nakreśloną w Wyborgu, a to z tego powodu, że to nie jest droga polityki realnej. Taktyka odezwy wyborskiej dlatego jest chybiona, że nie została oparta na uwzględnieniu istotnych warunków życia i wobec tego nie mogła doprowadzić i nie doprowadziła do rezultatów realnych. Oparta jest ona na złudzeniu, nie wytrzymującem trzeźwej krytyki. Był to ten sam środek, do którego tak lubią uciekać się [illegible] zwane partye skrajne,— środek straszenia groźnemi słowami, za któremi bynajmniej nie zawsze kryje się siła realna".

Znaną jest uchwała Rady profesorów Uniwersytetu Warszawskiego, dotycząca przeniesienia go do Cesarstwa; z tej racyi Kotlarewskij pisze w *Rus. Wied.*:

„Należy to przejrzeć — jeśli nie władzy, to społeczeństwu, gdyż jest tu mowa nietylko o ogólnej zasadzie, że każda narodowość ma prawo do zachowania i rozwoju swego języka i że szeroka swoboda w kulturalnej samodzielności jest conditio sine qua non pokoju i potęgi Rosyi. Jeżeli pragniemy spokoju w Królestwie polskiem, którego zaprowadzić nie są zdolne wszelkie stany wojenne, to pierwszym krokiem z naszej strony powinno być spełnienie elementarnych i słusznych żądań społeczeństwa polskiego, śród których jednem z najpoważniejszych jest żądanie szkoły ojczystej. Tego domagało się społeczeństwo polskie jeszcze w 1904 r. w memoryale Tyszkiewicza, złożonym ks. Światopełk Mirskiemu. Ileż krwi i ofiar uniknęłoby się, gdyby te umiarkowane i słuszne żądania były w swoim czasie uwzględnione.

„Tylko niechaj nie czynią mi z tego powodu sofistycznego zarzutu—ciągnie dalej p. Kotlarewskij—że, zezwalając na uniwersytet polski w Warszawie, musimy pozwolić na litewski w Wilnie, ormiańsko-gruziński w Tyflisie, tatarski w Kazaniu i t. d. Wolność kulturalnej samodzielności nie kasuje różnic naturalnych: nie wszystkie języki różnych narodowości, zamieszkujących Rosyę, mogą być pionierami wyższego wykształcenia, i, rzecz bardzo wątpliwa, czy człowiek, bezstronnie patrzący na rzeczy, będzie oponował, że polski język jest nieporównanie więcej do tego odpowiedni, niż litewski, gruziński lub ormiański.

„Albo pod tym dowodem kryją się inne głębsze przyczyny? Na początku r. b. wydano w Warszawie anonimową broszurę o stanie uniwersytetu warszawskiego, w której szeroko usiłowano wykazać, że występkiem ze strony rządu byłoby wydawać pieniądze na polski uniwersytet.

„Nie wątpimy, że w oczach wielu bardziej całowem jest tracić je na zaprowadzanie stanu wojennego, na chroniczną walkę z narodem. Sądzimy jednak, że tutaj tkwi błąd: ze względów ekonomicznych korzystniej jest dla nas otworzyć wrota ludności miejscowej do wyższej wszechnicy polskiej, niż budzić w narodzie polskim świadomość, że jego palące i słuszne żądania są zawsze ignorowane przez władze rosyjskie.

„Jest przytem poważniejsza przyczyna o charakterze moralno-politycznym. W imię zapomnienia przeszłości, w której z obu stron popełniane były liczne błędy, w imię ustalenia ściślejszej solidarności i kulturalnego związku, w imię wreszcie dobra zarówno Rosyi, jak Polski, należy szczerze pragnąć, aby uniwersytet warszawski spełniał swoje naturalne zadanie i służył duchowym interesom narodowości polskiej. Nie obawiajcie się sprawiedliwości; kierując się nią, rzucając na grunt przesycony wieloletnią trucizną nienawiści ziarna sympatyi i szacunku dla praw innych, nie pódziecie wbrew nakazom mądrości państwowej, nie zdradzicie interesów i godności państwowości rosyjskiej".

KRONIKA

— Dn. 20 i 21 b. m. odbyły się w Lublinie odczyty Aleksandra Świętochowskiego p. t. „O prawach człowieka" i „O prawach mniejszości", z których dochód przeznaczony został na rzecz „Światła" Lubelskiego. Prelegenta przyjmowano bardzo serdecznie.—Dn. 24 b. m. w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa Aleksander Świętochowski powtórzył odczyt „O prawach człowieka i obywatela" przed publicznością warszawską. Treści tej wspaniałej pracy nie podajemy, gdyż wcałości będzie drukowana wkrótce w *Prawdzie*.

Sprawy polityczne i społeczne. „*Strana*" donosi, że na odbytej w tych dniach w ministeryum spraw wewnętrznych naradzie postanowiono sparaliżować agitacyę przedwyborczą partyi opozycyjnych przez zakaz rozdawania prawyborcom gotowych, drukowanych list kandydatów. Każdy prawyborca będzie musiał zapełniać kartę wyborczą w lokalu wyborczym.

— Prezydent miasta Moskwy otrzymał zawiadomienie z Petersburga, że instrukcya w sprawie przyszłych wyborów będzie wkrótce ogłoszona i dlatego należy przystąpić do prac przygotowawczych.

— Zarząd Sekcyi Paryskiej Polskiej Ligi Wolnej Myśli prosi o zamieszczenie anonsu o zwołanem na d. 3 listop. r. b. ogólnem zebraniu w Paryżu. Członkom Ligi z Królestwa przysługuje prawo przesyłania wniosków na zebranie pod adresem Sekcyi: Dr. J. Zieliński. 30 Place de la Nation, Paris.

— General-gubernator moskiewski nie uwzględnił starań uniwersytetu w sprawie pozwolenia zamieszkiwania w Moskwie wolnym słuchaczkom i słuchaczom żydom.

— Według danych „Bundu" do chwili zwołania ostatniego zjazdu, w partyi tej było 83,891 członków.

— „Towarzystwo miłośników historyi" w Warszawie zostało ulegalizowane. Celem Towarzystwa jest popieranie nauk historycznych, ze szczególnem uwzględnieniem dziejów Polski. Do urzeczywistnienia celu tego służyć mają: zgromadzenia walne i zwyczajne, wydawanie czasopisma naukowego (Przegląd historyczny) i, w miarę możności, innych wydawnictw z zakresu historyi, ogłaszanie konkursów na tematy historyczne, zakładanie bibliotek historycznych, organizowanie odczytów i wykładów publicznych

— Łódzkie Towarzystwo oświaty bezpłatnej otwiera trzecią czytelnię bezpłatną im. Elizy Orzeszkowej.

— W Ostrowie (W. K. Poznańskie) policya zamknęła zebranie około 700 Polaków, (w tej liczbie ks. Ferdynand Radziwiłł) debatujące nad sposobami walki z przymusem nauczania religii w języku niemieckim.

— Arcybiskup Stablewski ogłosił list pasterski, zachęcający do chowania dzieci w polskiej nauce religii. List wywołał oburzenie w prasie niemieckiej.

— Zaregestrowane zostało „Towarzystwo biblioteki publicznej" w Warszawie.

— Ministeryum spraw wewnętrznych telegraficznie zawiadomiło warszawskiego generał-gubernatora, że ministeryum życzy sobie, aby za dwa tygodnie rozpoczęły się narady przedstawicieli ludności miejscowej dla opracowania projektu ustawy samorządu ziemskiego i miejskiego w Królestwie polskiem.

— „Towarzystwo czytelni publicznych" zostało zaregestrowane.

— Partya „30 października" połączyła się z „Rosiją".

— Ogłoszono Ukaz Najwyższy o zniesieniu ograniczeń prawnych dla obywateli wiejskich, oraz osób b. stanów opodatkowanych.

Zaburzenia i zamachy. 14-go b. m. po południu w pobliżu rogatek Wolskich dokonano zamachu na agentów policyi śledczej, z których kilku raniono. Również odniosło rany kilka osób postronnych. Sprawcy zamachu, rzuciwszy (nieszkodliwie) bombę, zbiegli [illegible].

— W pobliżu Ząbkowic nieznani ludzie napadli na patrol, zabili strażnika, ranili 2 kozaków. Jeden z napastników został zabity, reszta zbiegła.

Aresztowania i kary. Po kilkogodzinnej rewizyi d. 17 paźdz. w domu przy ul. Wilczej Nr. 62 aresztowano technika p. Jana Kalinowskiego oraz służącą.

— Tegoż dnia o południu na rogu ul. Złotej i Zgoda rewidowano i aresztowano kolporterów pism.

— Na stacyi Grodzisk d. 15 b. m. aresztowano pracownika wydziału ruchu na kolei W. W. p. Stanisława Janiszowskiego i osadzono w cytadeli warszawskiej.

— 16 b. m aresztowano w Białymstoku 7 mężczyzn i kobietę — anarchistów komunistów.

— 17-go b. m. powieszono w cytadeli warszawskiej Wiktora Motela, skazanego na śmierć za strzelanie do patrolu 8 września b. r. na rogu ul. Siennej i Miedzianej.

— 20 b. m. aresztowano kilkunastu ludzi, podejrzanych o udział w zamachu na gen. Szwejkowskiego. [illegible]wani mają być oddani pod sąd polowy. Na mieście rozeszła się pogłoska, że ludzie ci zostali w liczbie 14 rozstrzelani, co wywołało popłoch; mówiono o strajku ogólnym z tego powodu, a nawet kilka fabryk na Powiślu stanęło. Pogłoska ta jednak okazała się przedwczesną.

— Tegoż dnia w piwiarni Kijoka przy ul. Grzybowskiej aresztowano 4 uczestników „Zmowy robotniczej".

Bandytyzm. 13-go b. m. rozstrzelani zostali bandyci, którzy 14 września dokonali napadu zbrojnego, w celu rabunku na dom mieszkańca wsi Slecin, gub. Kieleckiej, pow. Jędrzejowskiego, kupca Szlomy Nowomiejskiego.—Tegoż dnia w Puławach rozstrzelano włościan gminy Żyrzyn, Stanisława Cieślę i Grzegorza Woźniaka, oskarżonych o napad i rozbój.

— 15-go dwóch wyrostków zabiło z [illegible]wolwerów stróża domu Nr 12 przy ul. Zielnej, Jana Majkow[illegible].

— 16-go rozstrzelano w Kielcach bandytę Kapuśniaka.

— 17-go o południu w Warszawie na rogu Nalewek i Świętojerskiej około 20 bandytów otoczyło wagon tramwajowy, w którym jechał kasyer biura dyrekcyi tramwajowej, p. Migdalski, oraz jego pomocnicy. W rezultacie zamach się nie udał, trzech bandytów zabito. Od strzałów wojska, które otoczyło i bombardowało dom, gdzie się schronił jeden z bandytów odniosło rany wiele osób postronnych. Charakterystyczne, że zabici złoczyńcy wszyscy są w wieku 17—18 lat.

— Na rogu Siennej i Żelaznej trzej bandyci odebrali inkasentowi składu nici „Liphardt" 1000 rubli i zbiegli.

— Zabito właściciela majątku Rachów (gub. lubelska) Borucha Frisztanera.

Strajki. W kilku fabrykach okryć damskich w Warszawie zastrajkowali robotnicy żydzi, którzy żądają zapłaty za czas ubiegłych świąt żydowskich oraz za czas strajku obecnego.

— W redakcyi „Kuryera Łódzkiego" zastrajkowali roznosiciele.

Sprawy szkolne. W Łodzi otwarto gimnazyum polskie. Dyrektor Szopowski i adw. przys. Rossman wygłosili mowy. Na razie funkcyonują 4 pierwsze klasy, liczące 1240 uczniów.

— 14 b. m. nastąpiło w Puławach otwarcie koła „[illegible]".

— 16 b. m. w uniwersytecie Petersburskim odbył się pierwszy wykład Maksyma Kowalewskiego, który od lat wielu nie przemawiał z rosyjskiej katedry uniwersyteckiej.

— W szkole mechano-technicznej Wawelberga i Rotwanda otwarto w r. b. szkolnym dwa wydziały: technologiczny i konstrukcyjny.

— Warszawski rząd gubernialny na posiedzeniu d. 17 b. m., uległalizował związek Uniwersytetu dla wszystkich.

— Wznowiono wykłady w uniwersytecie moskiewskim.

— Strajki szkolne w Poznańskiem szerzą się coraz [illegible].

— Pruski minister oświaty zabronił przyjmowania rosyjskich poddanych do uniwersytetu berlińskiego.

— „Riecz" donosi, że minister oświaty wyruszy w tych dniach na objazd wszystkich miast uniwersyteckich.

Literatura i sztuka. 17 b. m. odbyło się w Wilnie uroczyste otwarcie stałego teatru polskiego. Nadesłano telegramy powitalne z Krakowa, Lwowa, Poznania i t. d.

— Komisya do spraw związków i stowarzyszeń na gub. Warszawską uległalizowała „Związek polskiej młodzieży muzycznej".

— Znany archeolog i miłośnik sztuki, p. Józef Choynowski, wzbogacił nowymi okazami zbiory swoje, złożone w darze Tow. Zach. Sztuk Pięknych.

Prasa. Z d. 1 listopada zacznie wychodzić tygodnik popularno-lekarski „Kosmetyka", poświęcony estetyce ciała.

— Nr 4 wydawnictwa tygodniowego „Świt" został skonfiskowany.

— „Tydzień Piotrkowski" zawieszono, redaktora oddano pod sąd.

Wiadomości ekonomiczne. W okręgu Petersburskim od początku r. b. sprzedano wódki o 7 [illegible] wiader więcej, niż w tym samym okresie [illegible].

— Ministeryum komunikacyi postanowiło zwiększyć przewóz węgla z Zagłębia Dąbrowskiego.

— Zaregestrowana została „Warszawska Kasa dla kobiet pracujących".

Koleje i komunikacye. Zarząd kolei Nadwiślańskich postanowił rozszerzyć stacyę Łuków, która z powiększeniem ruchu na dystansie Łukowskim ma ważne znaczenie, jako punkt węzłowy.

— Na zasadzie nowego projektu ustawy o pracownikach kolejowych, kobiety mogą być mianowane na wszystkie stanowiska, prócz eksploatacyi technicznej, i na służbie korzystają ze wszystkich przywilejów narówni z mężczyznami. Minister komunikacyi ma prawo naznaczać kobiety również na niektóre stanowiska techniczne.

— Otwarcie urzędowe kolei z Kalisza do Szczypiorny i Skalmierzyc nastąpi d. 28 b. m.

— W ciągu ostatniego tygodnia zaległości kolejowe w państwie zwiększyły się o 5600 wagonów; wynoszą one obecnie 75,600 wagonów.

— „Riecz" donosi, że utworzył się syndykat anglo-francuski, który otrzymuje prawo wykończenia rozpoczętych i dalszej budowy nowych dróg żelaznych w Rosyi.

Zmarli. Bronisław Trzaskowski w Krakowie. Zasłużony pedagog i działacz społeczny.

OGŁOSZENIA.

Wyszło w czterech oddzielnych częściach dołączane w dodatku kwartalnym do „PRAWDY" dzieło p. t.:

Wiek XIX

Zagadnienia moralne: A. Darlu: *Klasyfikacya współczesnych idei moralnych.* — P. L—e: *Rodowód idei sprawiedliwości i dobra.* — G. Belot: *Zbytek.* — H. Höffding: *Rodzina.*

Cena kop. 60, z przesyłką rekomend. 75 kop.

Wiek cudów ALFREDA WALLACE'A (tłom. z angielskiego)

Cena 90 k., z przesyłką rekom. 1 rb. 10 k.

Ekonomia i Socyologia w [illegible] S. GRABSKIEGO i Dr. K. KRAUZA. Cena 60 kop., z przes. rekom. k.75.

Historya polityczna, rys dziejów stulecia, w opracowaniu H. GALLEGO. Cena 50 kop., z przesyłką rekom. 65 k.

Skład główny w Administracyi „Prawdy," Hoża 19.

Spółka Nakładowa

poleca resztującą niewielką ilość dzieł

Dr. Piotra Chmielowskiego:

Autorki polskie [illegible]

Po cenie zniżonej:

Zarys najnowszej Literatury polskiej

(1864—1897).

Nowe, przejrzane i znacznie powiększone wydanie, str. 516. Cena rb. 2 z przesyłką rb. 2 kop. 40.

PISMA
Aleksandra Świętochowskiego:

Tom I: Damian Capenko, Chawa Rubin, Karl Krug, Klemens Boruta, Oddechy, Na pogrzebie i Woły. Rb. 1 k. 50 (wyczerpany)

Tom II. Tragikomedya prawdy: On i ona, Z pamiętnika, Sam w sobie, Moja głowa, Klub szachistów, Ona.—Testament Alego, Starzec i dziecię, Cholera w Neapolu. Rb. 1 k. 20 (wyczerpany).

Tom III: Bajki: Krajobrazy, Dwugłos miłości, Lew kamienny, Wesele Satyra, Hymn niemych, Strachy Pentelikonu, Dafne, Dwa widma, Dwaj filozofowie, Nad grobem, Ashe. Rb. 1 kop. 20.

Tom IV: Piękna, Aspazya. Rb. 1 kop. 50.

Tom V: Trylogia Nieśmiertelne dusze: Ojciec Makary, Aureli Wiszar, Regina. Rb. 1 kop. 50.

Tom VI: Antea, Na targu, Helwia, Pauzaniasz, Poddanka, Błazen, Za maską, Dachówka. Rb. 1 kop. 20 (wyczerpany).

Tom VII: Duchy, trzy części. Rb. 1 kop. 50.

Do nabycia w Administracyi *Prawdy*.

BIURO pośrednictwa pracy

[illegible]

TOWARZYSTWIE ŻYDOWSKIEM OCHRONY KOBIET.

OBEJMUJĄCE WYDZIAŁY: nauczycielski, handlowy, rzemieślniczy i służbowy. POLECA: nauczycielki, wychowawczynie, freblanki, buchalterki, kasyerki, korespondentki, sklepowe, expedyantki, woźne, krawcowe, modystki, hafciarki, szwaczki, robotnice fabryczne, gospodynie, dozorczynie chorych, niańki, pokojówki i kucharki.

Biuro (Twarda 6) otwarte codziennie od godziny 9 do 1-ej przed połud. i od 3 do 6-ej po poł. w Piątki zaś do 2-ej po poł. W święta żyd. i soboty biuro nie[illegible].

Wydawca: Paulina Sieroszewska. Redaktor: Władysław Bukowiński.

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.